1933 pięćdziesiąt lat minęło... 1983

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

kamena

NR 20 (787) 25 września - 8 października 1983 CENA 10 ZŁ

Egzemplarz obowiązkowy BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Pół wieku

DRODZY Czytelnicy! „Kamena", założona w 1933 r. w Chełmie przez Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i Zenona Waśniewskiego, obchodzi właśnie pół wieku swego istnienia. Rzadki to jubileusz w prasie polskiej, a w rodzinie pism literackich i kulturalno-społecznych chyba jedyny (za dwa lata 50-lecie obchodzić będą „Szpilki", dodajmy: dopiero za dwa lata...).

Długo zastanawialiśmy się, jaki numer przygotować z tej okazji — ostatecznie zwyciężyła koncepcja numeru z numerów, aczkolwiek miała ona swych przeciwników, ponieważ już na 45-lecie naszego pisma ów pomysł zrealizowaliśmy. Wówczas jednak okolicznościowy numer zajęły przede wszystkim wiersze. Teraz wierszy jest mało i przeważają teksty, które ukazały się już w „Kamenie" powojennej. Uważna ich lektura pozwoli nawet przypadkowemu Czytelnikowi zorientować się w tematyce, którą zajmowaliśmy się i zajmujemy nadal; niektóre artykuły stale są aktualne...

W ciągu całego 50-lecia braliśmy niezmiennie aktywny, twórczy udział w życiu literackim, kulturalnym, społecznym, politycznym, konsekwetnie stojąc po lewej stronie barykady, co założyciele „Kameny" deklarowali już w 1934 roku (vide: str. 14). Staraliśmy się jednak unikać schematów, nie szufladkowaliśmy poszczególnych zjawisk, w wielu wypadkach potrafiliśmy zachować krytycyzm, a z drugiej strony — zwłaszcza po sierpniu '80 — nie daliśmy się ponieść emocjom.

Jaka jest „Kamena", o tym najlepiej wiedzą nasi stali Czytelnicy. Dziękujemy im za wszystkie listy, za uwagi i propozycje. (Nie pomijamy przy tym autorów anonimów, bo niewybredne ataki naszych przeciwników politycznych utwierdzały nas w przekonaniu, że kroczymy po słusznej drodze).

Przedwojenna „Kamena" miała 300 egzemplarzy jednorazowego nakładu, obecna przekroczyła nakład 20-tysięczny; cieszy nas, że notujemy tendencje zwyżkowe, a zwroty spadły do minimum. Wyciągamy stąd wniosek, że rzeczywiście jesteśmy potrzebni. I dlatego z zadowoleniem przyjęliśmy decyzję Zarządu Głównego „Prasy—Książki—Ruch", naszego Wydawcy, o przekształceniu „Kameny" od 1 stycznia przyszłego roku w tygodnik.

Na koniec uwaga: w numerze wszystkie teksty (poza kilkoma zdaniami w rubryce „Z notatnika") stanowią przedruki. Wyjątkiem są też współczesne trzy rysunki Józefa Tarłowskiego i słowa, które właśnie przeczytaliście.

TU NARODZIŁO SIĘ NASZE PISMO

Ten domek jeszcze w Chełmie stoi, ale już na niego wydano wyrok — w tym miejscu staną nowe bloki mieszkalne. Tutaj (przed wojną: Reformacka 43, dziś Dzierżyńskiego 45) odbyło się pierwsze zebranie, na którym powzięto uchwałę o wydawaniu „Kameny", tu też w pierwszych latach powojennych mieściła się redakcja pisma...

Rys. Józef Tarłowski

START „KAMENY"

1963 nr 22

Kazimierz Andrzej Jaworski

W ROKU 1925 przy Męskim Seminarium Nauczycielskim w Chełmie powstało z mojej inicjatywy koło, grupujące młodzież, która miała specjalne zainteresowania literackie i pragnęła poprzez lekturę, referaty i dyskusję pogłębić znajomość twórczości Stefana Żeromskiego, obranego patronem organizacji.

Ale koło nie poprzestało na zaznajomieniu się z dziełami Żeromskiego. Jako drugi, nie mniej ważny cel swej działalności, postawiło sobie poznanie rozwoju współczesnej poezji polskiej — od skamandrytów do awangardy włącznie, bo program języka polskiego w zakresie literatury kończył się wówczas na Młodej Polsce.

Wśród uczniów moich znaleźli się nie tylko konsumenci, ale i producenci słowa poetyckiego. Zrazu były to jednostki: najpierw Jan Szczawiej, debiutujący zbiorkiem w r. 1930, potem Witold Kasperski — w r. 1932 (obaj — po opuszczeniu szkoły). Wrodzone zdolności rozwinięte przez systematyczne poznawanie liryki współczesnej pozwoliły im na wydanie książek, których nie musieli się wstydzić. Ale najszczęśliwsze dla rozwoju poezji szkolnej okazały się lata 1933—1934, kiedy to kilka zdolnych i rywalizujących ze sobą jednostek skupiło się na jednym kursie: Wacław Mrozowski, który już będąc na czwartym roku studiów nauczycielskich wydał zbiorek wierszy, Zdzisław Popowski, który zadebiutował w r. 1934, Wacław Iwaniuk, Ignacy Gąsior, Wiktor Matyszczuk, Czesław Morawski i Stanisław Turczyn. Dodajmy tu jeszcze, nie ujawniającego się wówczas, ale już piszącego — Czesława Twardzika oraz dzisiejszego plastyka warszawskiego Kajetana Sosnowskiego, a cała paczka uzdolnionych moich uczniów będzie w komplecie.

Do tych nazwisk wypadnie mi jeszcze wrócić. Na razie wspominam o nich dlatego, że Koło Literackie stworzyło klimat sprzyjający m.in. powstawaniu takich zdawałoby się niedorzecznych pomysłów, jak zamiar założenia w Chełmie pisma literackiego. Bo pismo młodzieży seminaryjnej, i to pod nie byle jakim tytułem („Pióro"), wychodziło tu sporadycznie z przerwami przez trzy lata. Nie czułem się osamotniony i był precedens.

Ale nie tylko dlatego. Wśród kolegów-nauczycieli miałem człowieka bliższego mi od innych, z którym się zaprzyjaźniłem. O sześć lat starszy ode mnie nauczyciel rysunków o wszechstronnych upodobaniach artystycznych,

Dokończenie na str. 14

NOTY

1933 nr 1

Powojenne stosunki kulturalne w Polsce wymagają nie tylko teoretycznego omówienia i praktycznych wskazówek, ale żądają uporządkowania, generalnego remontu, odkurzenia z wiekowych naleciałości przedrozbiorowych i porozbiorowych nieporozumień. Podział społeczeństwa na szereg wzajem zwalczających się obozów wszelkiego autoramentu powoduje chaos i dezorientację, zwłaszcza w dziedzinie sztuki. [...]

1933 nr 2

Środowisko lubelskie nie będzie miało w bieżącym roku teatru. Gmach jest wcale niebrzydki (i nieźle zaopatrzony, reflektanci byli, pertraktował w tej sprawie St. Wasilewski, a potem W. Gralewski). Niestety, władze miejskie nie życzyły sobie widocznie utrzymania tego rodzaju placówki w mieście, liczącym 120 000 mieszkańców, skoro postawiły kandydatom na dyrektorów takie warunki, których żaden z nich nie mógł przyjąć.

1933 nr 3

Sowiecki numer (518) „Wiadomości Literackich" powinien się znaleźć w rękach każdego inteligentnego czytelnika. Daje on wszechstronny obraz życia kulturalnego ZSRR w oświetleniu wybitnych jego twórców. Uwzględniając nawet zrozumiałą możliwość pewnego subiektywizmu autorów w przedstawieniu życia duchowego Związku, podziwiać musimy olbrzymi jego rozmach twórczy we wszystkich dziedzinach kultury. „Wiadomościom Literackim" należy się prawdziwe uznanie czytelników za piękną inicjatywę, która przyczyni się w dużym stopniu do zbliżenia sąsiadujących państw. [...]

1933 nr 4

Ukazał się numer 1 (22) „Zagarów", organu zjednoczonej obecnie awangardy wileńskiej, rozdwojonej dotąd [...] Numer zawiera wiersze Kotlickiego, Mikułki, Bujnickiego, Maślińskiego i Putramenta, białą plamę „Epigramatu" Miłosza, przekłady z poety litewskiego Kazysa Boruty, artykuły i notatki, świetny wiersz satyryczny na Akademię Literatury p.t. »Nieznany fragment z „Pana Tadeusza"« oraz wyczyn cenzora wileńskiego, jednego z tych, o których Mickiewicz w IV cz. „Dziadów" powiada, iż „przelatując sztuk nadobne kwiaty, oczerniał każdą piękność, którą tylko zoczył, każdą słodkość zatrutym wysysał ozorem albo przebijał do ziemi środka i nauk ziarno z samego zarodka gadziny zębem roztoczył". Gorliwiec, znać by dowieść, iż słowa te w ciągu 110 lat nie straciły na swej aktualności, skonfiskował ni mniej ni więcej tylko ustępy z „Przedwiośnia" Żeromskiego! [...]

1933 nr 10

Starostwo grodzkie w Krakowie zarządziło zajęcie książki Mariana Czuchnowskiego p.t. „Trudny życiorys". Konfiskacie uległo kilkaset wierszy druku, łącznie około 25 stron. „Trudny życiorys" jest eposem wiejskim, napisanym specjalną, do tego celu stworzoną, formą poetycką. Dialektyka, która stanowiła budowę utworu, pod czerwonym ołówkiem cenzora znikła z poematu. [...]

1935 nr 1

Szereg czasopism („Lewy tor", „Poprostu", „Lewar" i in.) wysunął sprawę jednolitego frontu antyfaszystowskiego „pracowników pióra". Kiedyś wytknęliśmy w „Kamenie" niezdrowe stosunki panujące pomiędzy różnymi obozami tzw. lewicy literackiej, a wynikające nie tylko z różnic ideologicznych czy taktycznych, lecz i z ścierania się poszczególnych ambicyj i ambicyjek. Wskazywaliśmy też, kto z tej niezgody najbardziej korzysta. Toteż projektowi wspólnego frontu trzeba przyklasnąć. Ale wątpimy, czy uda go się w całej pełni zrealizować. Wiele okoliczności złoży się na to. Możeby więc lepiej było na razie zacząć od mniejszej rzeczy: poniechać wzajemnych kłótni i inwektyw, uznać dobrą wolę poszczególnych obozów i jednostek z lewicy literackiej i pozwolić każdemu pracować na swym odcinku w miarę sił i możności. Byłby to pierwszy etap na drodze do stworzenia wspólnego frontu.

kaj

z notatnika

15 IX 1983. Rubrykę „Z notatnika" prowadzę w „Kamenie" od 26 sierpnia 1977 r. Dziś przypominam pewne me spostrzeżenia z lat 1979 — 1981. Na wiele spraw miałem jednak krytyczne spojrzenie i w czasach dawniejszych. I tak np. 14 lutego 1971 (nr 4) w artykule pt. „Z jednej gliny" pisałem m.in.: „Partia to nie tylko etatowi pracownicy aparatu, ale i aktyw partyjny, ale i tzw. bierni członkowie, którzy wprawdzie rzadko zabierają głos na zebraniach, dostarczają za to może najwięcej dóbr produkcyjnych. Niekiedy odnoszę wrażenie, że bardzo zawężamy na co dzień pojęcie tzw. aktywu partyjnego. Pojęcie, jak i sam aktyw, czyli konkretnych ludzi. Ile jest narad, na których widzimy te same twarze? Są to przeważnie twarze dyrektorów, kierowników, sekretarzy różnego szczebla, personalnych itp. Twarzy robotników od produkcji widzi się niewiele. Jasne — oni muszą pracować na plan, na normę, a narady często odbywają się w godzinach pracy. Dyrektora można bez żenady przywołać zza biurka, z robotnikiem — już większy kłopot. Skutek jest też taki, że aktywista staje się niejako... zawodowym aktywistą. [...] I w tymże samym aspekcie można rozpatrywać [...] problem etatowych działaczy związków zawodowych, którzy w rubryce „zawód" mogliby z powodzeniem pisać „działacz związków zawodowych", często różnych. Wczoraj — metalowców, a dziś — dajmy na to — przemysłu skórzanego". W tymże artykule stwierdzałem też: „Uczestniczyłem w kilku posiedzeniach Wojewódzkiej Rady Narodowej. Nie zdarzyło się — nie wiem, może tak właśnie trafiłem — aby ktokolwiek przeciw czemukolwiek zaoponował, miał odmienne zdanie od osoby wyżej postawionej w hierarchii służbowej. Taka jednomyślność niepokoi. Bo jednomyślność może oznaczać bezmyślność. Może oznaczać wygodnictwo. I coś jeszcze, czego nie nazwę po imieniu."

W „Kamenie" z 23 września tegoż roku (nr 20) w artykule pt. „Sprawy bliskie" pisałem: „Przyzwyczailiśmy się do tzw. karuzeli dyrektorskiej. W dobie sputników karuzele mogą bawić tylko najmłodszych. Lecz na karuzele dyrektorskie trudno sobie w naszym kraju pozwolić. Jesteśmy po prostu za biedni. [...] Zadanie dziennikarza: nauczyć społeczeństwo, że odejście kogoś ze stanowiska nie stanowi przekreślenia człowieka, ale pomoc w stworzeniu mu warunków, aby swe kwalifikacje mógł najlepiej wykorzystać dla ogółu. [...] Polityka kadrowa wówczas będzie polityką, jeśli decyzje zostaną podjęte po dłuższym zastanowieniu, po zasięgnięciu opinii nie tylko bezpośrednio zainteresowanych, a więc tych, którzy mają dane stanowisko objąć, ale i tych, którzy będą przez nich „rządzeni"."

Można cytować dalej, niestety brak miejsca. Powracam więc do „notatnika"... Powracam w nie tak odległą przeszłość.

23 III 1979. Jako lektor KW PZPR mam spotkanie z aktywem partyjnym w Spiczynie. Omawiamy sytuację na Półwyspie Indochińskim po ostatniej agresji chińskiej. Przedtem jednak I sekretarz KG, Zbigniew Gąsior, zapoznaje mnie z problemami swej gminy. Tutejsza szkoła, mająca już lat ponad pięćdziesiąt, bezskutecznie czeka na generalny remont. W czasie mrozów trudno było prowadzić lekcje. Sekretarz, były dyrektor tej szkoły, od kilku dobrych lat nachodzi kogo trzeba. Są pieniądze, ale brakuje mocy wykonawczej. A już same kosztorysy pochłonęły kilkadziesiąt tysięcy złotych! W kółku rolniczym ciągle nie rozwiązany problem części zamiennych do maszyn. Traktorzyści, jak mogą, kombinują na własną rękę. Zaopatrzeniowiec, sam kierowca, raczej wozi prezesa niż pilnuje tego, co do niego powinno należeć. W ośrodku zdrowia (przystosowanie budynku do celów służby zdrowia pięciokrotnie przewyższyło jego wartość) pewne spięcia między pracującą tu od lat felczerką, a młodą lekarką po studiach. Skargi na dentystę, który zbyt często lubi wpadać w szpony Bachusa. [...] A tymczasem sekretarz tkwi w papierach — pełni przecież funkcję przewodniczącego GRN, województwo żąda sprawozdań.

5 V 1979. Wracam z „dalekiej podróży". Mój rodzinny Chełm. [...] organizuje Święto Książki i Prasy Młodzieżowej i Sportowej [...]. Jest i sesja popularnonaukowa, albo — inaczej nazywając — konferencja na temat „Rola młodzieży w przemianach społeczno-politycznych i kulturalnych w Polsce Ludowej" [...] Wysłuchuję trzech referatów — jedno nazwisko mówcy bardzo utytułowane — o starszych i młodzieży w zakładach pracy, o roli i miejscu organizacji młodzieżowej w samorządzie oraz o rodzinie i jej problemach w polityce społecznej. Wysłuchuję, muszę uczciwie powiedzieć, z pewnym zażenowaniem. Trzy czwarte sali zajmuje młodzież do lat, na oko, osiemnastu. Ten język z trybuny to dla niej mowa—trawa. Szanowni referenci najwidoczniej zdający sobie sprawę z tego, że ich prace zostały wydrukowane i dostarczone poszczególnym uczestnikom sesji, sami nie bardzo wiedzą, o czym właściwie mają mówić. Plączą się w materiale, a co gorsza ich polszczyzna chwilami woła o pomstę do nieba. [...] Człowiek dorosły ma dość trzech referatów, następne już do niego nie trafiają. Sądzę, że człowiek młody nudzi się po drugim. Zwłaszcza, gdy ci, którzy je wygłaszają, dukają tak monotonnie, a czasem i tak niewyraźnie, że bebechy się przewracają.

21 IX 1979. „Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Lublinie w porozumieniu z Klubem Problemów Ekonomicznych SDP uprzejmie zaprasza na Konferencję Prasową dotyczącą aktualnych problemów przedsiębiorstwa. Konferencja odbędzie się w Puławach 21.09. br." [...] ...Ciekawe, co tam dyrektor [...] ma do powiedzenia. Dyrektor jednak urządził się bardzo chytrze. Przygotował dla dziennikarzy informację o działalności przedsiębiorstwa (41 stron maszynopisu) i ugościł ich obiadem w domku myśliwskim. [...] Ci, którzy na obiadek przybyli, długo będą ów uroczy klimat, stworzony przez gospodarzy, wspominać. Ostatecznie, gdy dziennikarz—klient biega od sklepu do sklepu w poszukiwaniu, dajmy na to, butów, jakiś relaks mu się należy. Zresztą tego typu obiady wśród drzew i ptaków mają tę zaletę, że nastrój na nich jest pogodny, niekrępujący, można się lepiej wzajemnie poznać i zrozumieć. I później, już niejako automatycznie, stępia się ostrze krytyki, bo jak tu ganić, skoro etc., etc.

19 XI 1979. [...] Wydaje mi się, że w naszej prasie zbyt mało jest osobistego spojrzenia. Autor chętniej posługuje się formułą „my" zamiast „ja". Często zabiera głos w imieniu „opinii społecznej", w imieniu pisma, które reprezentuje („wydaje nam się, że...") niż we własnym. Im mniejszy grajdoł, tym większy piedestał. Im mniejszy kościół, tym większy ołtarz.

24 II 1980. [...] Poinformowano mnie, że dyrekcja WSS „Społem" w Lublinie modernizuje urządzenia wnętrza. Kosztowne boazerie, nowe meble... Ostatecznie prezes od czasu do czasu przyjmuje u siebie i podsekretarza stanu, estetyczny gabinet z pewnością wpływa na wzrost dobrego samopoczucia, więc o co tu mieć pretensję? Jeśli ktoś do mnie zadzwonił, to po prostu dlatego, że zainteresował go los starego wyposażenia, które miało zasilić kotłownię. Pracownicy WSS chcieli to i owo kupić dla własnych potrzeb, ale istnieje ponoć przepis, który to uniemożliwia. Nie ma jednak przepisu, który zabraniałby niszczenia starych mebli. Jeszcze jeden paradoks współczesności! Ostatecznie, gdy wokół sprawy powstało trochę tak zwanego szumu, szafeczek nie pochłonął ogień, ulokowano je w pokoikach plebsu. Nie ma więc sprawy.

Plebs ciągle jeszcze czeka na wizytę kogoś z Warszawy. Wówczas bowiem i umywalki są czyste, i papier higieniczny w toaletach się znajdzie, i podłogi są wypucowane. Szkoda tylko, że wizyty uprzednio się zapowiada. Ale może i to się zmieni.

15 IV 1981. Otrzymałem znowu trzy listy, wszystkie trzy bez adresów, a więc w gruncie rzeczy anonimowe, bo ja też mogę podpisać się „Henryk Drozdowski", „Andrzej Bobrak", czy nie podpisać wcale. W listach tych poza różnymi wyzwiskami właściwie niczego konkretnego nie ma. Jeden czytelnik atakuje Żydów (to najłatwiej), przy okazji zapytuje, czy ja nim nie jestem. Nie, a gdybym był, to co? Powinienem był spłonąć w piecach Treblinki? Epitety, które autor serwuje pod moim adresem, powinien zwielokrotnić i obdarzyć nimi swą osobę. Z kolei p. „Henryk Drozdowski" ujmuje się za pewnym profesorem, którego decyzja w sprawie strajku spotkała się z moją (jakże delikatną) krytyką. Do czego to dochodzi? Znów mamy być wszyscy jednomyślni, chociaż tę dawną jednomyślność na pewno p. „Drozdowski" potępia? Każda epoka historyczna ma swoich krzykaczy. A wcale nie znaczy, że właśnie ten, kto krzyczy najgłośniej, ma akurat rację.

28 VI 1981. [...] Demokracji, jaka się objawiła szczególnie w czasie dyskusji nad projektem stanowiska [*XIX Wojewódzkiej*] Konferencji [*Sprawozdawczo-Wyborczej w Lublinie*] w sprawie węzłowych zagadnień na Nadzwyczajny Zjazd PZPR, mogłaby pozazdrościć najbardziej demokratyczna partia w najbardziej demokratycznym kraju. Nie dałbym jednak głowy, czy absolutnie wszyscy delegaci do końca dokładnie wiedzieli, o co tu toczy się walka. A walka toczyła się po prostu o to, by partia bez cienia wątpliwości prezentowała swój marksistowsko-leninowski charakter.

Nie ma co owijać w bawełnę. Skład delegatów na konferencję, wybranych, prawda, w demokratycznych wyborach, nie odzwierciedla składu socjalnego wojewódzkiej organizacji partyjnej. Słyszałem, że robotnicy chętnie powierzają mandaty technikom i inżynierom, a nawet dyrektorom, którzy ponoć potrafią się lepiej wysłowić, ale jest to teza mocno dyskusyjna. Na konferencji okazało się zresztą, że ta mała garstka (niecała 1/4 delegatów) robotników od produkcji, chłopów od pługa (czy traktora) potrafi dobrze dać w kość nam, inteligentom, a może ściślej tym inteligentom, którzy nagle ubrali się w togi zażartych obrońców uciśnionych (a swoją drogą obserwuję od pewnego czasu niektórych ludzi i podziwiam ich metamorfozę, umiejętność szybkiego przystosowania się do sytuacji — oni się dobrze czują wówczas, kiedy wieją wiatry wschodnie i wówczas, kiedy zachodnie...). Kiedy jeden z młodych naukowców oświadczył, że w 1968 roku nastąpił upadek nauki, usłyszał ripostę, iż nastąpił, ale upadek... pseudonaukowców (?). Oburzyło to później innego pracownika naukowego. Nastroje antyinteligenckie? Nie! Gdy bowiem przemówił prof. dr Zdzisław Cackowski, nie delegat zresztą, który o sprawach bardzo poważnych mówił bardzo klarownie, zgodnie z powszechnym odczuciem większości, otrzymał lawinę zasłużonych oklasków. Zdrowy instynkt klasowy dobrze potrafi odróżnić kolory!

3 X 1981. Wczoraj ogłoszono wyniki wyborów: obradujący w Gdańsku Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność" wybrał na przewodniczącego Krajowej Komisji Lecha Wałęsę [...] Gdańskie obrady znajdują się też w centrum uwagi prasy krajów socjalistycznych. Chciałbym tu zwrócić uwagę na artykuł pt. „Z niepokojem", który ukazał się na łamach tygodnika literacko-politycznego „ELES ET IRODALON" („Życie i Literatura"). Autor tego artykułu, Pal A. Feher, pisze m.in.:

„Ze ściśniętym sercem śledzimy informacje, które napływają z Gdańska. Dostrzegamy poważne symptomy zapominania historii. Przeżyliśmy wiele kryzysów socjalizmu. Nie ma co zaprzeczać, że żyjące przed nami pokolenia, ale i nasze, długo wierzyły, że do budowy nowego, sprawiedliwego, pragnącego socjalizmu społeczeństwa wystarczy, jeśli będziemy widzieć jasno cel i będziemy wierzyć w ideę. Wierzyliśmy, że historia pracuje automatycznie — zamiast nas. Praktyka nam zaprzeczyła. Mija właśnie ćwierćwiecze od daty, gdy musieliśmy zapłacić ogromną cenę za tę ślepą wiarę. (Mowa o jesieni 1956 r. na Węgrzech — MAJ). I wtedy przyszły i odżyły upiory minionej wojny, bo znaleźliśmy się na skraju przepaści. Z radością zepchnęliby nas w nią ci, którzy nie uzmysłowili sobie rezultatów dziesięciolecia między wojną a kontrrewolucją ofiar, choć nie brakowało w tym okresie win oraz wypaczeń i błędów. I zrozumieliśmy, że nie jesteśmy sami: sprawy w Europie i na świecie są ze sobą powiązane."

Czyżby akurat w Gdańsku o tym zapomniano?...

„Solidarność" — słowo to nie oznacza jedynie nazwy polskiej organizacji społecznej. Pojęcie to jest jednocześnie synonimem zespolenia. Międzynarodowa solidarność w ruchu robotniczym oznaczała również zawsze i to, że

ludzie zaangażowani w sprawę socjalizmu poczuwają się równocześnie do wzajemnej odpowiedzialności. Nie zapominając o specyfice narodowej i wnioskach historii.

9 XI 1981. NZS i „Solidarność" z UMCS-u oraz Akademickie Centrum Kultury zorganizowały sesję naukową (można to tak nazwać) poświęconą październikowi 1956 roku. [...] Michnik, Staszewski, Wolicki... — że poprzestanę na tej trójce — przedstawiali swój punkt widzenia na październik 1956 (i nie tylko na październik) bardzo, delikatnie mówiąc, jednostronnie. Sytuację mieli o tyle ułatwioną, że na sali znajdowała się w ogromnej większości młodzież, której wówczas nie było jeszcze na świecie, i której w szkołach podstawowych i średnich wiele na ten temat nie mówiono. W klimacie powszechnej negacji łatwo znaleźć poklask, ważniejsze stają się słowa niż osoba, która je wypowiada. Można poszperać w archiwach i zobaczyć, co w latach stalinowskich pisywał Wolicki, co mówił Staszewski na III Plenum KC w listopadzie 1949 roku. Prawda — ludzie się zmieniają, tak jak i czasy się zmieniają, ale jeśli piewca czy rządzący w okresie stalinowskim zieje patologiczną nienawiścią do okresu gomułkowskiego czy gierkowskiego, które to okresy — cokolwiek by się o nich powiedziało — różniły się od t a m t e g o jak dzień różni się od nocy, zalecałbym większą wstrzemięźliwość w składaniu rąk do oklasków!

Słuchając „wykładów" wspomnianych osób to ja zachowałem n i e z a l e ż n o ś ć, a nie ci, którzy w klapach noszą znaczki z napisem „NZS". Chociaż raz roześmiałem się szczerze, kiedy Staszewskiemu pomyliły się literki i zamiast „e n z e t e s" powiedział... „e n e s z e t"!

11 XI 1981. „Jedenasty listopada, lekcji robić nie wypada" — pamiętam ten dwuwiersz z dzieciństwa. Niestety, w latach powojennych „nie wypadało" również obchodzić samego święta, jako że rocznicę tę kojarzono przede wszystkim z powrotem Piłsudskiego z magdeburskiej twierdzy. Jeśli już chrzczono, to raczej rocznicę wcześniejszą o kilka dni — rocznicę powstania ludowego rządu Daszyńskiego w Lublinie. Jak go zwał, tak go zwał, faktem jednak jest, że głupie, wstydliwe milczenie o odrodzeniu Państwa Polskiego po latach niewoli nie miało najmniejszego sensu, a pustkę wypełnił ten, który jej wypełnić nie powinien. Czkawka odbija się i dzisiaj, kiedy kurtyna zapomnienia została zdjęta.

Na placu Litewskim odbyło się więc k i l k a u r o c z y s t o ś c i przed znajdującymi się tu pomnikami. [...] Maluczko, a usłyszelibyśmy okrzyki: „Wodzu, prowadź na Kowno!"

Trudno jest kłaść podwaliny pod Front Porozumienia Narodowego, kiedy z trudem pękają barykady wzajemnej nieufności. A są przecież tacy, którzy wszelkimi siłami starają się wznosić nowe przeszkody. W każdym bądź razie — kładąc podwaliny — baczny na sieroty po tych, co to na Kowno, zwłaszcza, że te sieroty są mocne w gębie, ale bardzo słabe w historii.

26 XI 1981. Namnożyło się różnych biuletynów, a tu nawet na prasę z „oficjalnego obiegu" czasu nie starcza. Oto ktoś mi przesłał „Monolog" — pismo Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Lubelskiej z kilkoma zakreślonymi zdaniami. Cytuję je:

„Państwo jest instytucją powołaną historycznie dla zabezpieczenia praw człowieka i jego pracy. Sens jego istnienia określony jest dążeniem do dyscypliny i egalitaryzmu społecznego, do zabezpieczenia naturalnych praw jednostki. Oznacza to, że gdy czyjeś poglądy filozoficzno-moralne wykluczają pracę, państwo ma obowiązek bezinteresownego zapewnienia warunków dla normalnej egzystencji, a nie karania i obrzucania obelgami..."

Autorem tej myśli jest p. Robert J. Jurek.

Szanowny Panie Jurku! Przytoczony tekst przeczytałem kilkakrotnie. Jest on nieco zawiły, ale wynika z niego czarne na białym, że państwo ma obowiązek bulić forsę na każdego lenia. Co jednak się stanie, jeśli całe społeczeństwo będzie miało „poglądy filozoficzno-moralne" wykluczające pracę? Państwo ma wówczas żebrać o pomoc w Zanzibarze?

Papier jest cierpliwy, przyjmie każdą bzdurę, ale nawet od studenta politechniki należałoby wymagać odrobiny logiki!

M. A. Jaworski

DOBUDOWAĆ SOCJALIZM

ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM CACKOWSKIM

1981 nr 5

WALDEMAR PIASECKI: — Panie profesorze, zacznijmy od rzeczy podstawowej, od próby zdefiniowania socjalizmu. Czy widzi pan taką potrzebę po trzydziestu sześciu latach naszej powojennej rzeczywistości?

ZDZISŁAW CACKOWSKI: — Najważniejszą treść socjalizmu (jego istotę) oddają trzy pojęcia: sprawiedliwość, wolność obywatelska i godziwy poziom życia. Owe trzy pojęcia wyrażają też powszechne aspiracje ludzi, cel ich marzeń i dążeń. Wszystkie te trzy wartości ł ą c z n i e stanowią kryterium rozwoju socjalistycznych stosunków społecznych.

Zasada sprawiedliwości jest w doktrynach socjalizmu dobrze określona. Jej istota sprowadza się do współmierności i udziału w podziale dóbr wobec udziału w ich tworzeniu. Konkretnie powiedziałbym, że jeśli w jakimkolwiek środowisku człowiek złej roboty czuje się dobrze, tam sprawiedliwości nie ma.

Wolność, a właściwie wolności obywatelskie... Socjalizm w założeniu miał rozszerzyć wpływ obywatela na bieg życia społecznego i gospodarczego. Baza do takiego wpływu została u nas po II wojnie stworzona, ale nie została dopełniona w sferze stosunków społeczno-politycznych. Chciałbym wierzyć, że bieżący rok istotnie rozszerzy możliwość społecznego oddziaływania na życie kraju. Przyczyniłoby się to do praktycznej realizacji zasady ludowładztwa i sprawiło, iż polityczne prawa obywateli przestałyby być formalne. [...]

I trzecia sprawa, bez rozwiązania której dwie poprzednie biorą w łeb. Jest to taka organizacja pracy, która zapewniałaby godziwy poziom zaspokajania podstawowych potrzeb ludzkich. Tak już jest, że kiedy rozwój gospodarczy staje się widoczny, ludzie mniejszą wagę przywiązują do sprawiedliwości społecznej. Kiedy natomiast rozwój ulega zahamowaniu, uwaga społeczna kieruje się bardziej ku sprawiedliwości, ku sprawiedliwemu podziałowi. Mamy tego wyraźne przykłady w kraju. W takiej sytuacji bardzo często cała energia władzy i społeczeństwa skupia się na dzieleniu, nie zaś na wytwarzaniu. Dochodzi — jak obecnie u nas — do wzajemnego obarczania się winą za powstałą sytuację. Społeczeństwo mówi: „Mało wytwarzamy, bo zła organizacja pracy". Władza zaś: „Mało się wytwarza, bo ludzie źle pracują". Taki ping-pong. Racje leżą po obu stronach.

Tak widzę te trzy warunki i trzy elementy socjalizmu. [...]

W.P.: — Szczególnie bolesne odczuwaliśmy wszyscy wypaczenie zasady ludowładztwa. W ostatecznym rachunku doszło do zdeprawowania władzy i — również — moralnej dewastacji społeczeństwa. Jakie są źródła tych wypaczeń?

Z.C.: — Zastanawiałem się nad tym problemem w skali całego naszego powojennego trzydziestoparolecia i jeden z wątków myślowych był taki...

Niewątpliwie dokonały się w Polsce po II wojnie rzeczy — bez przesady — ogromne. Dotyczyły one życia społecznego i gospodarczego. To wszystko wiemy. Jest również faktem, że wprowadzenie dwóch zasadniczych przemian: uspołecznienia przemysłu i reformy rolnej odbyło się „od góry". Decydującą w tym rolę odegrała władza polityczna. Robotnicy proponowane zmiany przyjęli, chłopi wzięli ziemię. Zaakceptowali w ten sposób nową strukturę społeczną. Ale ani jedni, ani drudzy nie dokonali tego sami. W związku z tym władza poczuła się jedynym źródłem tych przemian i — co gorsze — jedynym ich gwarantem. Im dalej szliśmy w historię najnowszą, tym bardziej anachroniczne stawało się to u r o j e n i e w ł a d z y. W końcu doprowadziło ono do alienacji władzy i jej demoralizacji. Demoralizowało się również społeczeństwo. Czuło się bowiem zwolnione od odpowiedzialności za to, co się działo w kraju. I rok 1980 stał się tu przełomem. [...]

W.P.: — W ubiegłym roku, na krótko przed VIII Zjazdem PZPR udzielił pan wypowiedzi prasowej, w której przedstawił pan analizę sprawowania władzy w Polsce, w kategoriach teorii informacji: ich przepływu z „góry" na „dół" i odwrotnie. Była to wówczas wypowiedź „bardzo odważna" i na łamy przedostała się po kilkakrotnych „przeróbkach". Później krążyła w odpisach i odbitkach kserograficznych. Zbliża się akurat IX Zjazd, czy moglibyśmy wrócić do „tematu"?

Z.C.: — Proszę bardzo. Żeby jakiś organizm mógł funkcjonować, potrzebna jest wymiana informacji między jego poszczególnymi elementami. W Polsce tak się stało, że władza dopuszczała do siebie tylko informację dla niej sympatyczną i miłą. Odwzajemniała się tym samym. „Obraz" był taki, że z jednej strony władza była: „mądra, dobra, przewidująca" itp., a z drugiej — „dobra" była klasa robotnicza, „dobre" chłopstwo, „dobra" młodzież i studenci, nawet inteligencja była „dobra". Takie dusery płynęły w obu kierunkach. I wtedy właśnie mówiłem i pisałem, że z a d u ż o odwagi trzeba, aby mówić prawdę „górze". Zresztą „góra" też tej prawdy bała się mówić „dołom". Doprowadziło to do tolerowania przez władzę nader wygodnej iluzji, że w Polsce jest dobrze. Skończyło się to w jedyny możliwy sposób — „dołom" się znudziło...

Rozwój wypadków można było w najogólniejszym zarysie przewidzieć. Dlatego właśnie próbowałem „zasugerować" konieczność otwarcia się władzy na tę gorzką i „niepotrzebną" prawdę. Okazją do tego był — jak sądziłem — VIII Zjazd. Próby takich „sugestii" podejmowałem nie tylko w prasie lubelskiej, ale i w innych czasopismach (w tym partyjnych) oraz przy okazji wypowiedzi publicznych.

W.P.: — Jak jest dziś z tą transmisją informacji? Sytuacja wskazuje, że chyba nie najlepiej...

Z.C.: — W tej chwili mniej już potrzeba odwagi, aby mówić gorzką prawdę „górze", natomiast mówienie gorzkiej prawdy przez „górę" kosztuje ją znacznie więcej odwagi. Nie ma symetrii. Role się odwróciły. Dzisiaj już więcej odwagi trzeba, aby mówić gorzką prawdę „dołom" (w szczególności „Solidarności") niż „górze". A przecież tę prawdę trzeba mówić, jest ona koniecznym warunkiem autentycznej odnowy.

W.P.: — Panie profesorze, wierzymy, że wypaczenia nie powtórzą się. Żeby jednak do tego nie doszło, potrzeba szczególnej uwagi i konsekwencji w realizacji procesu odnowy. Co jest jej treścią?

Z.C.: — Widzę to następująco. Po pierwsze: potrzebne są takie formy, zasady i instytucje życia publicznego, które odpowiadałyby nowym zaszłościom, nowym faktom (są dwa: masowe wystąpienia robotników poparte przez przytłaczającą większość społeczeństwa i ich efekt instytucjonalny — NSZZ „Solidarność" z nowymi zasadami życia wewnątrz tej organizacji i nowymi formami jej kontaktów ze społeczeństwem).

Po drugie: widzę — z jednej strony — konieczność wpisania się „Solidarności" w podstawowe zasady socjalizmu. Z drugiej — dopasowanie struktur i instytucji już istniejących do faktów z lata 1980 roku. Musi się zmienić np. życie wewnątrzpartyjne i praktyka funkcjonowania przedstawicielskich organów władzy (Sejmu i rad narodowych).

Trzeci obszar odnowy to funkcjonowanie państwa w sferze gospodarczej. Przewrót ustrojowy dokonał się w Polsce — jak już wspomniałem — „od góry" i teraz istnieje szansa dobudowania do niego treści klasowych. D o b u d o w a n i a s o c j a l i z m u. Elementarnym interesem robotników nie jest kwestionowanie społecznej własności środków produkcji, ich reprywatyzacja, a autentyczne ich uspołecznienie i pełniejsze nimi dysponowanie. Widzę tu szansę pełnej realizacji zasady społecznego władania środkami produkcji i nadawania tej zasadzie faktycznie socjalistycznej treści. Jest to szansa praktycznej realizacji zasady ludowładztwa w oparciu o istniejącą bazę ekonomiczną.

W.P.: — Skoro już jesteśmy przy odnowie... Niepokoi mnie sposób traktowania jej nie jako procesu stałego, a jako sumy „etapów". Od rozwiązania jednego konfliktu do następnego. Od jednego wydarzenia do drugiego. A pomiędzy nimi brakuje ciągłości. Mówiło się, że podpisania porozumień zamyka pewien etap i otwiera nowy, to samo — podczas sporu wokół rejestracji „Solidarności", to samo, kiedy odsłaniano pomniki ofiar grudnia '70. Rozumiem historyczne znaczenie tych wydarzeń, ale nie z tego — w końcu — przyjdzie nam się przed sobą rozliczać, bilansując odnowę za rok, dwa... Kiedy byłem na uroczystościach odsłonięcia pomników w Gdańsku i Gdyni, dziennikarz kanadyjski zwrócił mi uwagę, że tu z jednej strony patos i misterium (pomnik), a z drugiej proza życia — brak żółtego sera i zapałek. Powiedział: „Ja wiem, że wy, Polacy, lubicie wielkie rzeczy, ale życie to są wielkie rzeczy i małe rzeczy. To jest pomnik i to jest ten ser. Razem do kupy".

Z.C.: — Poruszył pan ważną sprawę: problem polskiego romantyzmu. Romantyzm jest nam potrzebny, ale romantyzm uczciwy, rzetelny. Kiedy wypowiadamy wielkie słowa: Ojczyzna, Honor, Patriotyzm, Solidarność, które nam wyciskają łzy, należy pamiętać, żeby to nie było jedyne. I żeby nawet to nie było główne. Tylko żeby do tych wielkich wartości prowadziła droga od małego a realnego działania.

Dawno już zauważyłem różnice między patriotyzmem polskim a amerykańskim. Polacy są zdolni do największych wzruszeń przed sztandarem, słuchając hymnu czy „Roty". Amerykanin może nawet swego hymnu nie znać (i często nie zna), ale jeżeli prezydent powie, że jest kryzys energetyczny i prosi o wykręcenie silniejszych żarówek i wkręcenie słabszych, to Amerykanin raczej to zrobi. A Polak? I tu jest wielka anomalia. Dystans między tym serem a wzniosłymi hasłami. Między gotowością Polaka do umierania za ojczyznę, a nieumiejętnością życia dla ojczyzny. Sądzę, że dziś stajemy przed szansą stworzenia takich mechanizmów społecznego działania (bo to jest właśnie sprawa społecznych mechanizmów działania, a nie sprawa jakiejś „narodowej psychologii"), które pozwolą nam połączyć rzetelność postawy pozytywistycznej ze wzniosłością postawy romantycznej. Szarą codzienną pracę z specją haseł. I to połączyć tak, żeby realizacja haseł wynikała z pracy, żeby wzniosłe hasła nie funkcjonowały z a m i a s t pracy. [...]

Musimy sobie jasno uświadomić, że o suwerenności państwowej i narodowej Polski — znów przypomnę książkę Osmańczyka — decyduje nasza z a s o b n o ś ć g o s p o d a r c z a. Jest to czynnik absolutnie podstawowy. Jeżeli właśnie tę suwerenność będziemy utwierdzać, to wówczas nasza boleść narodowa, wyrażona w kulturze, nabierze sensu i zyska szacunek w świecie.

Drugim ważnym czynnikiem naszej suwerenności jest pewne minimum (oby je zdecydowanie przekraczać) z a u f a n i a społeczeństwa do władzy, do władzy czerpiącej swą siłę z tego społecznego zaufania i społecznego poparcia. Taki jest elementarny interes władzy i taki też jest interes społeczeństwa. Nie ma chyba drugiego kraju na świecie, dla którego suwerenności partnerska jedność władzy i społeczeństwa miałaby tak wielkie znaczenie jak w Polsce.

Wydaje mi się, że budowania ideologii, której konkluzją jest twierdzenie o zasadniczej wrogości władzy państwowej i społeczeństwa, uderza w elementarne podstawy naszej suwerenności. Takiej ideologii sprzyja ogromne obciążenie władzy, która oderwała się od społeczeństwa, straciła jego zaufanie. Konieczny jest spieszny i ogromny wysiłek wszystkich, aby władzę — mechanizmy i zasady jej funkcjonowania — zmienić tak, żeby zyskała ona siłę płynącą ze społecznego poparcia. Taki jest interes władzy i taki też jest interes społeczny.

W.P.: — Wymienia się różne gwarancje powodzenia odnowy. Czy, pana zdaniem, takim gwarantem może stać się PZPR i jaką rolę w tym względzie powinien wypełnić IX Zjazd? Pytanie to jest tym bardziej zasadne, iż jest pan profesor członkiem komisji przedzjazdowej.

Z.C.: — Uważam, że PZPR może i powinna taką rolę pełnić, ale pod warunkiem odbudowania swego związku z robotnikami i wiarygodnego udokumentowania go. W ostatnim okresie poprzedzającym dramatyczne wydarzenia lata 80, oderwanie od rzeczywistości znacznej części kierownictwa partyjnego różnych szczebli było oczywiste. Fakt ten, jak i przejawy dygnitarstwa, niesprawiedliwości, czy nawet nadużyć dokonywanych w partii i przez jej członków, wyraźnie podważyły jej autorytet. [...]

Druga część pytania... Jak każdy członek PZPR i jak większość Polaków spodziewam się, że IX Zjazd przyczyni się do normalizacji życia społecznego i gospodarczego, że zapoczątkuje rzeczywisty dialog partii ze społeczeństwem, którego od tylu lat brakowało. [...]

Chciałbym zakończyć tę rozmowę stwierdzeniem, że realizacja socjalizmu jako wielkiego i wzniosłego programu nie może mieć autentycznego charakteru, jeżeli nie jest sprzężona z konkretnym i codziennym przeciwdziałaniem złu, z walką przeciwko konkretnej ludzkiej krzywdzie i konkretnej niesprawiedliwości społecznej. Jeżeli zło i niesprawiedliwość są tolerowane, jeżeli na froncie przeciwdziałania złu panuje cisza, a zło jest widoczne, wówczas hasło budowy socjalizmu staje się abstrakcyjnym i pustym sloganem.

O ekshumację regionalizmu

1971 nr 7

Ireneusz J. Kamiński

O REGIONALIZMIE mówi się ostatnio w Lublinie dość często; ani chybi zbliża się kolejny zjazd wojewódzki stowarzyszeń społeczno-kulturalnych i pokrewnych. Tylko okazjonalny dzwon zdolny jest zwrócić dziś uwagę publicystyki na ten ruch, który — że uprzedzimy przewód dowodowy — ruchem już nie jest. Mechanizm zbiorowych sympatii i mitologii, solidnie przez lata oliwiony dobrym słowem, funkcjonuje jednak nadal, nakręcany od czasu do czasu — jak stara pozytywka wygrywająca jedną i tę samą melodię, przypominającą niegdysiejsze radości i nadzieje.

Mówi się zatem ostatnio o regionalizmie, po trzech bez mała latach milczenia, na plan pierwszy wysuwając zagadnienia natury modelowo-metodologicznej. Z poszóstnych szybkości polemik i rozważań wyłaniają się stare problemy i równie wiekowe pytania: kim jest regionalista i jakie działania określają jego profil? Co powinien on robić, a czego unikać? Z odpowiedzi wynika, że „Regionaliści to działacze, którzy chcą dobra dla swojego regionu, którzy są zaangażowani w pracy dla środowiska", że towarzystwa „powinny wytwarzać głód kulturalny we wszystkich dziedzinach, zachęcać ludzi do czytania książek i czasopism, propagować, a potem wyrabiać nawyk chodzenia do teatru i kina, nawet trochę zafascynować małym ekranem itd., itd."

Te stwierdzenia i postulaty, zaczerpnięte z prasy lubelskiej, mają swój urok, bo są konstruktywne i oparte na ponad dziesięcioletniej tradycji dyskusji nad regionalizmem, zawiniętej wokół identycznych problemów. Wiele do sprawy nie wnosząc, utwierdzają przecież w przekonaniu, że zarysowana problematyka decyduje o istocie, statusie społecznym i przyszłości regionalizmu. Już w 1962 roku na Międzywojewódzkiej Naradzie Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych podjął ją, nie pierwszy zresztą i nie ostatni, R. Rosiak, który w instruktywnym referacie zauważył trafnie, że „regionalizm, który znaliśmy z okresu międzywojennego czy z lat wcześniejszych, w zasadzie nie ma dziś racji bytu. Jeśli wprowadzimy termin neoregionalizmu, to z pewnością w odniesieniu do działacza rozumiemy pod tym mianem nie tylko człowieka, który zbiera pieśni ludowe, szuka zabytków archeologicznych, stara się wydobywać ciekawe materiały, ale człowieka aktywnie uczestniczącego w przebudowie regionów, aktywnie wykonującego zadania, jakie stawia przed nim partia i państwo... Rezygnowanie z przeszłości byłoby rzeczą niesłuszną, ale rezygnowanie ze współczesności byłoby dla ruchu regionalistycznego samobójstwem".

Zdecydowana większość uczestników dyskusji nad regionalizmem, toczonych m.in. na konferencjach krajowych w latach 1960-1964-1965, czy zjazdach lubelskich (1962-1965-1967), akcentowała taki właśnie program, na ogół trafnie formułując konkretną problematykę, kierunki działania i cele stowarzyszeń regionalnych, zaś Ministerstwo Kultury i Sztuki, nie narzucając żadnych sztywnych ram modelowych czy recept wymyślonych za biurkiem, bardzo taktownie acz zdecydowanie sugerowało jedynie konieczność łączenia form starego regionalizmu z treściami współczesnego życia konkretnych środowisk. Słuszność tej koncepcji potwierdził świetny rozwój towarzystw społeczno-kulturalnych w Zielonej Górze, Koszalinie, Olsztynie, które wydały takie trwałe fakty kulturowe, jak czasopisma („Nadodrze", „Panorama Północy", „Warmia i Mazury"), muzea, instytuty naukowe i szereg innych, do dziś istniejących instytucji.

Wydawać by się mogło, że stare dyskusje — których dobre efekty uwidoczniły się również na Lubelszczyźnie, choćby w zapisanym w przeszłości dorobku towarzystw: hrubieszowskiego, chełmskiego lubartowskiego, puławskiego, łukowskiego i krzczonowskiego — ustaliły ostatecznie podstawową płaszczyznę rozwoju regionalizmu na zasadzie dialektycznej, zakładającej zmiany jego struktury jako funkcji procesów społecznych i gospodarczych. Tymczasem w roku 1971 stawia się stare pytania i problemy, co nasuwa podejrzenie, że sprawę regionalną zaczynamy od początku. To podejrzenie, skonfrontowane z rzeczywistością, staje się, niestety, prawdą. Stowarzyszenia społeczno-kulturalne Lubelszczyzny przeżywają głęboki kryzys, a oceny tej nie jest w stanie złagodzić w dalszym ciągu niezła pozycja społeczna Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego i Towarzystwa Miłośników Ziemi Chełmskiej; w rejestrze wojewódzkim figuruje ostatecznie 13 takich organizacji, skupiających ponad 2 tys. członków.

Prawda, stowarzyszenia lubelskie nigdy nie osiągnęły rangi poważnej siły społecznej, zdolnej do faktycznego uczestnictwa w rozwiązywaniu istotnych problemów socjalnych, kulturalnych czy gospodarczych regionu, będącej autentycznym wyrazem i narzędziem opinii publicznej, spontanicznie zorganizowaną grupą nacisku, z którą władza musiałaby się liczyć. W publicystyce przyjęło się rozmazywać tę kardynalną funkcję towarzystw na drobne ckliwej filantropii moralnej, rozkładanej na jednostki o unikalnych zainteresowaniach i ambicjach, na pewno wartościowe i godne premiowania w każdej postaci, lecz w sporadycznych tylko przypadkach inicjujące długodystansowy ruch społeczny. Nie spełniając tych wysokich wymagań, niemal każde towarzystwo regionalne Lubelszczyzny wyróżniało się jednak swoją działalnością w panoramie życia powiatów, mniej więcej do połowy lat sześćdziesiątych.

Był więc elastyczny model regionalizmu, byli, na pewno, ofiarni ludzie, były wartościowe osiągnięcia. Skąd zatem ów kryzys? Przed próbą odpowiedzi opis jednostek chorobowych.

Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Lubartowskiej, powstałe w 1958 roku z miejscowego Koła Miłośników Historii, na początku bieżącego roku nie było w stanie podać nazwisk członków prezydium zarządu, bo takowe dawno się rozleciało. Z trudem też ustaliło liczbę wszystkich swych członków na „około 150", z czego „około 15" uznało za aktywnych, czyli starających się o „reorganizację" Stowarzyszenia, mówiąc wprost: o przywrócenie go do życia. Pozostali przy dobrej nadziei działacze stwierdzają zresztą otwarcie, że lata 1966—1970 to „zastój w działalności" SMZL.

Jedno z najstarszych towarzystw regionalnych Lubelszczyzny, o ciekawej swego czasu działalności wydawniczej i popularyzatorskiej oraz dalekowzrocznych koncepcjach pracy terenowej, skonkretyzowanych w założeniu kół filialnych w pięciu osadach i wsiach powiatu, na początku 1971 r. właściwie nie istniało.

Natomiast Towarzystwo Miłośników Ziemi Kraśnickiej rozsypało się jakoś bezboleśnie, bo od momentu powstania w 1964 r., nie zapisało na swym koncie właściwie żadnej wartościowej społecznie inicjatywy, sterowanej przez charakter regionu. Powiat — piąty w województwie pod względem liczby mieszkańców (ponad 110 tys.), posiadający 192 zakłady przemysłu terenowego i wielką Kraśnicką Fabrykę Wyrobów Metalowych, zdobył się na Towarzystwo, skupiające przez pierwsze cztery lata istnienia nieodmiennie 67 osób, co raczej ilustruje mało pomysłową sprawozdawczość, niż stan faktyczny.

Na początku bieżącego roku także i to Towarzystwo nie miało zarządu, bo: przewodniczący zrezygnował z funkcji, zastępca również nosi się z takim zamiarem, ponieważ został sekretarzem stowarzyszenia wyższej użyteczności, na miejsce zmarłego w ubiegłym roku sekretarza nikogo nie wybrano, a skarbnik wielokrotnie zgłaszał niemożność pełnienia funkcji, albowiem składek członkowskich nie sposób wyegzekwować... Plany na przyszłość: w porozumieniu z PPRN i KP PZPR zwołanie walnego zebrania w celu weryfikacji działalności i powołania nowego zarządu.

Sytuacja organizacyjna innych stowarzyszeń nie przedstawia się tak żałośnie, niemniej jednak i one przechodzą wyraźny kryzys, widoczny w dynamice i zakresie działalności, której istotą zdaje się być zamierzona bezkonfliktowość, z góry założone — może nawet nieświadomie, na zasadzie instynktu samozachowawczego — ograniczenie form aktywności do najbardziej lekkostrawnych i tradycyjnych. Odczyty, zbieranie eksponatów dla lokalnego muzeum, popularyzacja wiedzy o mieście i powiecie, wystawy sztuki ludowej, „propagowanie piękna regionu" — uznanie tej pracy za wartościową nie pozwala przecież na złudzenia, że wyczerpuje ona potencjał twórczy członków stowarzyszeń i prowadzi do rzeczywistej obecności w życiu regionu. Odpowiedź na pytanie o przyczyny takiego stanu rzeczy mieści się w dość osobliwym serwisie życzeń, adresowanym przez stowarzyszenia do władz powiatowych. Oto mała próbka:

„Oczekujemy życzliwego stosunku miejscowych władz do naszych zamierzeń... Poparcia moralnego od Komitetu PZPR, a finansowego od rad narodowych i zakładów pracy... Składamy serdeczne życzenia, aby władze miejska i powiatowa, zechciały uznać potrzebę istnienia jedynej tego rodzaju placówki i pomogły finansowo i zachęcająco do wykonania zakreślonego programu..."

Stąd właśnie ów kryzys, w którym znalazła się zdecydowana większość lubelskich stowarzyszeń regionalnych tu właśnie, na linii stowarzyszenie — władze powiatowe, napina się rzeczywista problematyka istnienia i rozwoju regionalizmu oraz lokalizuje główne źródło jego porażek, które są zarazem niepowodzeniami polityki społecznej instancji sprawujących władzę. Wyznaczanie regionalistom kierunków i form działania bez głębszej analizy i właściwego rozwiązania owej problematyki przypomina dziecięce zabawy w konstruowanie światów pozornych, rekompensujących braki i szarzyznę rzeczywistości.

Zagęszczający się od połowy lat sześćdziesiątych styl gospodarzenia, polegający na wydawaniu i transmisji decyzji arbitralnych, w nikłym stopniu liczył się z głosem opinii publicznej, skuteczne zresztą tłumionym. W takiej atmosferze nie mogły rozwijać się spontanicznie ufundowane grupy społeczne, jakimi są stowarzyszenia regionalne: o tym, aby uzyskały rangę siły społecznej, trudno nawet pomyśleć. Dla ratowania pozorów, a może że ze zwykłego „poślizgu" oficjalnie poklepywane po ramieniu i zachęcane do „wyzwalania twórczej energii", w praktyce były izolowane i spychane na margines życia społecznego, gdzie pełniły co najwyżej rolę miłych ornamentów. Nie sposób przecież powiedzieć, że była to jakaś przemyślana, świadoma akcja! Ta nieszczęsna pozycja okazała się wypadkową ogólnego zobojętnienia i malejącej wiary w celowość i skuteczność działania, wykraczającego poza konieczność zapewnienia sobie podstaw indywidualnej egzystencji; tylko regionaliści z instynktu nie zaaprobowali tego, drobnomieszczańskiego w końcu, sposobu bycia, lecz ilu ich było... Przy okazji przypomnieć trzeba prawdę dawno odkrytą przez socjologię, prawdę w naszych warunkach już banalną, że stosunek ludzi do miasta, jak do własnego mieszkania, istnieje wówczas, jeśli dzięki decentralizacji władzy zaistnieje możność kształtowania lokalnej sytuacji.

Znamienne jednak, że wszędzie tam, gdzie na czele towarzystwa stoi lub stał przewodniczący powiatowej rady narodowej, o żadnych „serwisowych" postulatach i komentarzach nie ma mowy, choć poza jednym (Chełm) właśnie te stowarzyszenia należą do najmniej aktywnych. Czy to przypadek, że unia personalna towarzystw regionalnych z administracją odebrała tym pierwszym żywotność, a w najlepszym wypadku charakter organizacji wyzwalających swobodną i szeroką inicjatywę obywatelską?

Oczywiście, bez bliskich kontaktów z instancjami władzy stowarzyszenia regionalne istnieć nie mogą, w szczególności zaś nie mogą działać bez ich moralnego wsparcia. Chodzi tylko o określenie charakteru owej współpracy, konkretnie — o wypracowanie takiej jej płaszczyzny, która umożliwiałaby permanentny dialog między np. administracją a stowarzyszeniem — ciałem autonomicznym i kompetentnym do zabierania głosu w określonych sprawach regionu. Chodzi po prostu o rzeczywiste wprowadzenie stowarzyszeń regionalnych do szeregu partnerów dobrej i odpowiedzialnej roboty o zasięgu społecznym, nie zaś o okazjonalne hołubienie samej idei regionalizmu. Taką reformę w pełni umożliwiają zmiany polityczno-społeczne, zachodzące w naszym kraju. (...)

Nieobecność w stowarzyszeniach ludzi młodych, to automatyczny brak nowych koncepcji, inicjatyw czy choćby pomysłów, to — na zasadzie sprzężenia zwrotnego — mała atrakcyjność regionalizmu w oczach młodzieży. Kto wie, czy rozwiązania tego pierwszorzędnego zagadnienia nie można by poszukać w strukturze organizacyjno-ideowej Szczecińskiego Towarzystwa Kultury, które jest luźną federacją stowarzyszeń społeczno-kulturalnych tego województwa. STK rozwija swoją działalność poprzez dziewięć komisji problemowych: programowo-statutową regionalnego ruchu społeczno-kulturalnego, wiedzy o regionie, popularyzacji wiedzy i techniki, upowszechniania sztuki i popierania twórczości amatorskiej oraz ruchu amatorskiego, upowszechniania książki, prasy, radia i tv, komisji kultury życia codziennego, turystycznego i estetycznego zagospodarowania województwa, studenckiego ruchu regionalnego, rozwoju bazy materialnej kultury. Nie ulega wątpliwości, że w niejednej z tych komisji młodzież znajduje dobre warunki do realizacji osobistych ambicji i aspiracji. [...]

Przede wszystkim zaś warto zastanowić się nad połączeniem towarzystw powiatowych w swobodną federację wojewódzką, w niczym nie naruszającą autonomii poszczególnych jej udziałowców, która niewątpliwie umożliwiłaby bardziej racjonalne wykorzystanie potencjału energii społecznej, skumulowanego w stowarzyszeniach, będąc zarazem formą przedstawicielstwa interesów tego ruchu w mieście wojewódzkim. W skali krajowej największe osiągnięcia i najwyższą pozycję społeczną posiadają właśnie takie, sfederowane, stowarzyszenia powiatowe i lokalne.

Kamena

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Dyskutujemy odważnie i rozważnie

Z JEDNEJ GLINY

Marek Adam Jaworski

Węgiel uczy pokory

1978 nr 2

Maciej Podgórski

WKOŃCU został wydarty ziemi. I to nie symbolicznie zniogramy z odwiertów poszukiwawczo-geologicznych. Poszło w tony — z poziomu 710 metrów, drążonego szybu na 1 kopalni pilotującej koło Bogdanki. 3 stycznia budowniczowie kopalń z mysłowickiego Przedsiębiorstwa Robót Górniczych dotarli do kilkudziesięciocentymetrowej warstwy lubelskiego węgla, na razie nie przeznaczonej do eksploatacji, i zaczęli iść głębiej, w kierunku pokładów eksploatacyjnych. Jeszcze sto, dwieście metrów...

8 stycznia w referacie Biura Politycznego KC PZPR wygłoszonym przez Edwarda Gierka podczas II Krajowej Konferencji Partyjnej fakt dotarcia do lubelskiego węgla został wymieniony wśród ważnych osiągnięć gospodarki narodowej. Gdy piszę te słowa, leży obok na moim stole kilka sporych kęsów trochę matowych, trochę połyskliwych, węgla z szybu nr 1. Córka chce zabrać jedną bryłkę i ofiarować swojej szkole na pamiątkę.

Tymczasem w szybie nr 1 trwa nadal uporczywa robota wokół głębienia. I nowe trudności. Poniżej poziomu mrożenia wdziera się woda. Trzeba budować stację pomp i zaczynać odwodnienie; prace głębieniowe chwilowo wstrzymać. „Normalna sprawa" — powiadają górnicy, jakby nie pamiętający już swego sukcesu z 3 stycznia, który przeszedł zrazu cicho.

Miało być inaczej i przeszło rok wcześniej, na Barbórkę 1976. Z początkiem października 1976 roku został rozstrzygnięty ogólnopolski konkurs na reportaż o Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Materiały z konkursu oraz inne publikacje o LZW przeznaczono do książki. Oddano do składania 9 października 1976 roku, druk „Górniczego przedwiośnia" ukończono w niespełna dwa miesiące. W naszych warunkach poligraficznych, kiedy ten proces trwa zwykle rok, jest to „błyskawica".

Więc była już książka i miała być Barbórka, a z nią pierwszy węgiel lubelski. Przedstawiciele władz państwowych, pióropusze górniczych galowych czapek, kubeł z węglem wyjeżdża do góry, na stosie czarnych brył spoczywa książka „Górnicze przedwiośnie". Tak miało być, ale węgiel widocznie nie lubi uroczystości...

* * *

Lipiec 1972. Za odkrycie i udokumentowanie złóż lubelskiego węgla otrzymują nagrodę państwową I stopnia: prof. dr Jan Samsonowicz (pośmiertnie) oraz zespół — mgr inż. Józef Porzycki, dr Karol Bojkowski, mgr Stefan Cebulak, dr inż. Zdzisław Dembowski, mgr inż. Zbigniew Grabowski, dr hab. inż. Aleksander Jachowicz, dr hab. Andrzej Różkowski.

Prace swoje rozpoczął prof. Samsonowicz jeszcze w latach dwudziestych, potem kontynuował je w Polsce Ludowej, kierując badaniami. Zespół prócz pokonania problematyki naukowo-badawczej musiał dodatkowo borykać się w pewnym okresie z trendami przeciwnymi węglowi. Pracowali bowiem nad węglem, gdy energetyką światową rządziła tania ropa naftowa, a w Polsce mówiło się o gaszeniu kominów kopalń.

Grudzień 1974. Podczas akademii z okazji Dnia Górnika Edward Gierek powiedział: „Rozpoczęliśmy przygotowania do budowy kopalń w bogatym Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Zapoczątkowanie eksploatacji jego zasobów to otwarcie nowego rozdziału w polskim górnictwie"...

2 stycznia 1975. „Express Wieczorny" donosił: „W najbliższym czasie na podmokłych terenach wokół wsi Łęczna rozpoczną się prace przygotowawcze do głębienia szybów pierwszej kopalni lubelskiego węgla". Tak rodzi się Historia, ale tak też powstają „kaczki". Bo Łęczna to miasteczko; i nie „wokół" Łęcznej, lecz pod wsią Bogdanka na gruntach puchaczowskich, zaś prace przygotowawcze zaczęły się jednak wcześniej.

11 lutego 1975. Przedsiębiorstwo Poszukiwań Naftowych z Jasła przystępuje do wiercenia otworów mrożeniowych na szybie nr 1. Na placu budowy działa już generalny wykonawca robót górniczych — PRG z Mysłowic.

15 maja 1975. Nad Bogdanką pojawia się latający dźwig — śmigłowiec nasielskiego „Instalu", pomagający przy budowie linii energetycznej, ciągniętej w trudnym, bagnistym terenie. Okoliczni chłopi wysoko zadzierają głowy, śledząc lot wielkiej ważki. Takich metod pracy jeszcze nie widzieli.

19 listopada 1975. Nasunięcie wieży wyciągowej na piwnicę mrożeniową szybu nr 1. Operacja trwa od 19.30 do 7.10 — wieże o wysokości 39 metrów i wadze 240 ton przesunięto na odległość 25 metrów. Za dwa dni rozpocznie się robota przy głębieniu szybu nr 1, co jest równoznaczne z początkiem budowy kopalni, a zarazem całego LZW.

Lato 1976. Przy budowie szybu nr 1 padają kolejne rekordy krajowe i światowe w głębieniu szybów metodą mrożeniową. 120 metrów szybu w obudowie betonowej w ciągu 26 dni, 390 metrów szybu w ciągu kwartału. „Jedynka" ma już 440 metrów głębokości, do pierwszego węgla tylko 270 metrów. Sukces wydaje się tuż, tuż. Prasa i telewizja szaleją.

Zbieram materiał do reportażu na konkurs o LZW. Rozmawiam z nadsztygarem Aleksandrem Styczniem, który dał się poznać prasie jako przeciwnik mówienia o rekordach produkcyjnych, padających w Bogdance:

— Nie uważam, żeby to były rekordy. Pracujemy na szybach pilnych dla rozpoznania terenu, żeby można projektować następne kopalnie i rozpoczynać ich budowę. Mamy wszystko, co chcemy: materiały, sprzęt. Ja, wierzę w koncentrację sprzętu, materiałów, robocizny, w nowoczesność technologii, wysoką organizację, dyscyplinę i fachowość ludzi, wysokie zarobki, bo pieniądze też są ważne, proszę pana. A potem zwyczajnie: trzeba tę skałę urobić, trzeba to wydobyć, trzeba zabetonować, czy jest to na Bogdance, „Piaście", „Wujku" i wielu wielu innych szybach. Niemniej każdy szyb jest inny, nie ma podobnych szybów do siebie, nie ma podobnego przekroju geologicznego, nie ma podobnego dopływu wody, choć szyb pozostaje niby zawsze szybem. I jak tu porównywać, mówić o rekordach! A niespodzianki? Niespodzianki będą zawsze. Jeszcze wczoraj studiowałem dokładnie przekrój geologiczny, bo już się szykujemy na „jedynce" do przejścia największej kurzawki, na 580 metrze. Może poczekamy z miesiąc na zamrożenie grubszego płaszcza, może będziemy tę kurzawkę otwierać na raty, ale ja zaś panu powiem, że my ją przejdziemy, to jest do przejścia...

Rozmawiam z Lucjanem Stysiem, sołtysem wsi Bogdanka, który stanął do roboty przy głębieniu szybów, a zarazem prowadzi gospodarstwo:

— Ja dopiero zaczynam. No, po prostu jak dziecko: co zaczyna chodzić, ja zaczynam dopiero podnosić się, bo właściwie to co ja miałem. Ale czterdziestka to już jest młodość starości, powinno się już decyzję wziąć, tylko, jak mówi przysłowie, ciężko nosić, żal porzucić. Więc jeszcze czekam, taka cisza przed burzą, to jeszcze potrwa do pierwszego kubła węgla, do tej Barbórki. Może nie tylko ja czekam, może ktoś więcej czeka na to...

Tak, wszyscy czekali na Barbórkę 1976. Oczywiście, nie z założonymi rękami, choć niektórzy z pewną dozą ostrożności, jak nadsztygar Styczeń, doświadczony fachowiec. Tak czy owak jeszcze latem podjęto zobowiązanie — „Do dnia 4 grudnia 1976 roku zgłębić szyb 1 do głębokości 720 metrów, osiągając przez to pierwszy pokład węgla w kopalni pilotująco-wydobywczej w Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Należy zaznaczyć, że odcinek szybu poniżej 500 metrów głębiony będzie w bardzo trudnych warunkach hydrogeologicznych i kurzawkowych z zastosowaniem specjalnej obudowy tubingowej".

Niestety, nie wszystko jest w stanie przewidzieć człowiek, choć w końcu wszystkiemu jest w stanie stawić czoła.

W „barbórkowym" numerze „Sztandaru Ludu" (3-5 XII 1976) Aleksander Bąbczyński, dyrektor kopalni LZW w budowie, odpowiada na pytanie dziennikarza:

— Czy na długo odwlecze się moment dotarcia do pierwszego węgla?

— Jest to kwestia trzech, czterech miesięcy.

Jak wiadomo, musiało minąć tych miesięcy trzynaście! Ale już 1 stycznia 1977 roku pojawiła się relacja z pierwszego etapu przechodzenia kurzawki: „O pierwszej w nocy z 1 na 2 września zjechaliśmy na dół... Gdy dowierciliśmy się do kurzawki, wszystko odbyło się zgodnie z przewidywaniami. Najpierw nastąpił wzrost ciśnienia, który uniósł nawet maszynę do wiercenia, olbrzymie parcie ciśnienia sprężonego w jądrze szybu wokół płaszcza mrożeniowego, następnie wylew sprężonej kurzawki i wszystko się uspokoiło... Ucieszyliśmy się ogromnie... Za wcześnie" („Życie Warszawy").

Rok 1977. Dziesięć miesięcy trwa walka z kurzawką. Rzadkie relacje prasowe uderzają teraz w ton ostrożności: „Węgiel się broni" „Jura broni węgla", „Trudna droga do węgla". Bardzo trudno zasięgnąć jakichś konkretnych informacji w dyrekcji LZW. Pojawiają się — z drugiej strony — pretensje do dziennikarzy: „Jak było dobrze wówczas klaskaliście. Gdy jest gorzej, szukacie winnych!"

2 listopada zatelefonował do mnie nadsztygar Styczeń:

— Jestem panu coś winien. Kiedy pan pisał o mnie reportaż, wówczas pan spytał, czy przejdziemy kurzawkę. Odpowiedziałem, że tak. Więc teraz panu mówię, ale tak całkiem prywatnie, że przeszliśmy właśnie dzisiaj.

— Ale jak to się odbywało, panie Aleksandrze?

— Informacji udziela dyrekcja.

Przez najbliższych kilka dni niczego się nie mogłem dowiedzieć: „Niech pan poczeka, i niech pan poczeka".

Gdy delegacja PRG 8 listopada zameldowała władzom województwa katowickiego o przejściu kurzawki, poczęły się w prasie ukazywać notatki.

Na temat owych dziesięciu miesięcy można by napisać książkę. W pewnym momencie, gdy do kurzawki zostało już tylko pół metra, wiertacze ze specjalistycznego przedsiębiorstwa nie mogli kontynuować roboty na dole, ponieważ dostali rozstroju żołądka od nadmiernego spożycia maślanki. Na dół zjechali więc zasadniczo kapitanowie robót górniczych: nieżyjący już dzisiaj Puchajda oraz Styczeń, Hartung... I wiertacz Majchsiuk, który właśnie „przekłuł" kurzawkę, ale zanim to nastąpiło, umówili się, którą drabinką w razie czego każdy będzie uciekał. Na szczęście nie było potrzeby. Czy się bali? „Tylko zwierzę się nie boi, panie redaktorze".

Lecz największa robota zaczęła się dopiero później, gdy z otworu zaczęły wypływać masy wody... Gdy trzeba było szyb korkować sześciometrową warstwą betonu... Gdy obudowa poczęła pękać... Gdy przyszło mrozić do głębokości 700 metrów...

* * *

Rozmawiałem z prostymi górnikami, budującymi szyby pod Bogdanką:

— Nas poganiać nie trzeba, u nas dryl taki surowy, że sami się poganiamy. Robimy, nie oglądamy się. I łaski nie robimy, że pracujemy. Robimy w takim czasie, jak tylko jest możliwe zrobić.

W dyrekcji LZW usłyszałem jeszcze w połowie grudnia przed dotarciem do lubelskiego węgla, że Barbórka będzie.

Wszyscyśmy się czegoś nauczyli przy tym niepokornym węglu lubelskim, przy budowie prowadzonej w warunkach unikalnych. Może trochę pokory? A Barbórka była 3 stycznia 1978 roku.

LUBLIN GRÜSST WIEN

kamena

LUBLIN (VR POLEN) JÄNNER 1978 — DIE KULTURSOZIALE HALBMONATSSCHRIFT — SONDERAUSGABE

GRÜNDUNGSJAHR 1933

EINE STADT DER GESCHICHTE UND DER MODERNE

Kilka myśli o poecie krytyku i czytelnictwie

1936 nr 1

Tadeusz Bocheński

I

WYDAWANIE książek poetyckich w dwustu egzemplarzach to nie tylko fakt bibliograficzny. Bywa, że się poeci małą ilością egzemplarzy chwalą. Bywa, iż krytyk stwierdza tę znikomą ilość bez przykrości lub nawet wtyka w recenzję rozumowanie: „Setka, licząc okrągło, działa w Polsce poetów. Ci książkę kolegi z ciekawości kupią. Reszta, pomijając tak zwane egzemplarze obowiązkowe, rozejdzie się po redakcjach ważniejszych czasopism. Nie zmarnuje się nic".

Przedmiotowe ujęcie rzeczywistości? Może. Ale i dowód, że wobec małego i niemal kastowego już pokupu książek poetyckich jesteśmy co najmniej chłodni.

II

Recenzentów rozróżniam dwojakich: poetów i niepoetów. Poeci piszą o poetach czasem zajmująco, czasem tylko złośliwie. Nie wiem, czy złośliwością nie wyłazi z nich sobkostwo lub coś sobkostwu podobnego: egometryzm, mierzenie sztuki cudzej łokciem własnych możliwości, własnych nawyków twórczych i upodobań. Gorszy i brzydszy od egometryzmu jest egoizm. Lecz tylko egoizmem (jednostkowym lub grupowym), tylko grubą zazdrością wytłumaczyć mogę wzgardliwe, poniżające „osądy" książek oczywiście i niezaprzeczenie śmiałych, zdobyczych i pięknych.

Niepoeci? Różnie tu bywa. Są i tacy, co kiedyś próbowali pisać wiersze. Nie udawało się, nie szło, więc rzucili pióro orle, a chwycili się gęsiego albo wręcz metalowego i wyładowują się gromieniem eks-kolegów.

Mierny dziennikarz, osobliwy specjalista wszystkiego, oblewa książkę i poetę sosem oklepanych frazesów, a gdy płatny od wiersza felieton jeszcze nie dość napęczniał, faszeruje go np. cytatami lub, co gorsze, naiwnymi streszczeniami. Zauważyłem, że ganienia bywa dziś w recenzjach gazetowych mniej, niżli bywało dawniej. Ale szkodliwsze bodaj od ganienia są frazesy, które nic nie mówiąc to jednak zdają się uparcie powtarzać, że poezja nie jest tematem poważnym. Czyżby istniała tylko po to, aby było o co zaczepić felieton?

III

Tak wśród recenzentów-poetów, jak wśród krytyków-niepoetów są zacne wyjątki. Spotykałem i spotykam głosy poetów o poetach tak radosne, tak pełne entuzjazmu, a jednocześnie najświetniejszego, niezawodnego znawstwa, że czytanie recenzji uczy i zapala. A jeśli wolno przytoczyć i świecko zastosować słowa Biblii, przytoczę. „Gdzie się dwaj lub trzej zgromadzą w imię moje, jam jest" — mogłaby powiedzieć i poezja, ilekroć w zgodnym, nabożnym trudzie pięknotwórczym i pięknoznawczym zespoli się poeta z recenzentem, a najdzie ich obydwu i dopiero się nasłucha ktoś jeszcze trzeci.

Spotykałem i spotykam uczciwe, niekiedy w syntetyzujący zachwyt uchodzące recenzje krytyków zawodowych. Jakże jednak rzadko! Częściej wytyki, kwaśne, przemądrzałe naciągania „ideologiczne" albo nawet próbę zgoła niedorzeczną, próbę prawowierności politycznej, społecznej, wyznaniowej. Z takiej próby pochwalony wyjdziesz czy zganiony, zawsze nie istoty sięgnięto.

IV

I jeszcze jedna jest metoda, jeden zapęd niby straszliwie etyczny, a naprawdę może tylko snobistyczny. Tak poeci, jak niepoeci powtarzają w recenzjach zrzędliwie, że poezji dobrej wcale dziś w Polsce nie ma, że istnieją tylko wierszopisowie średni, mierzwa pod daleką albo już idącą przyszłość.

Nie zgadzam się z taką opinią. Widzę i podziwiam świetne, i najzupełniej europejskie, a przecież polskie książki i utwory. Nie wydaje mi się, by dziś większy był odsetek publikacji lichych niż np. w latach Młodej Polski. Myślmy tylko tamtej partaczyzny zapomnieli, a pamiętamy rzeczy dobre i najlepsze.

Nie wydaje mi się także, by poziom artystyczny obecnej poezji polskiej był niższy od poziomów zagranicznych. Znam jako tako poetów niemieckich, francuskich i włoskich, znam także (tych niestety z przekładów) angielskich, rosyjskich i innych, lecz nie widzę między nimi a Polską przepaści. Owszem, różnorodność poczynań polskich, mnogość indywidualnych założeń i stylów, znakomite u niektórych poetów zgłębienie i wyzyskanie potencjalnych zasobów polszczyzny, wielka rozpiętość tematyki, sięgająca do najskrytszych przeżyć osobniczych aż po grozę i potęgę sprawy dziejowej i kosmicznej — to podpory mego mniemania i odczucia, że poezja polska nie tylko żyje, ale się szczęśliwie rozwija i bynajmniej strojowi światowemu nie uchybia.

V

Poniżanie polskiej twórczości poetyckiej bywa ogólne i częściowe. Ogólnym płyną usta i pióra niezadowoleńców, których rozgrymaszenie przypomina przepieszczone albo chore dzieci. Częściowego rodowód brzydki: doktrynerstwo bojówkarskie, ślepe partyjnictwo.

Słyszałem już, a słyszałem właśnie od poetów, że Tuwim to kupiecista i kontynuator innego kupiecisty, Lenartowicza, że Przyboś megaloman i półgłówek, że Słonimski wyprany chemicznie z uzdolnień poetyckich, a Czechowicz bezmyślny naśladowca francuskich (czy tylko znanych „krytykowi"?) nadrealistów. Słyszałem, że Peiper się idiotycznie wygłupia, a poeci „Skamandra" żerują tylko na gnijącym trupie kapitalizmu, rozgłos zaś (niezaprzeczony) zdobywają hojnym opłacaniem i obdarowywaniem posadami przekupnych recenzentów.

Tymczasem Tuwim jest przednim, rodowitym poetą, a rzetelny, licznymi i swoiście dojrzałymi owocami legitymowany wysiłek artystyczny Przybosia nie wyśmiewać każe tego twórcę, lecz szanować. „Okno bez krat" Słonimskiego mogło się spodobać i na pewno się bez łapówki spodobało Zawodzińskiemu (mnie się też podoba), a utwory Czechowicza nie są wtórne, lecz wykwitły z bardzo ludzkiej i bardzo lirycznej osobowości. Znam poetę od dawna i pamiętam, że już pierwociny, które na wiele lat przed „Dniem jak codzień" i „Kamieniem" oglądałem, bardzo były niepodległe i późniejszej technice, odrębnej tego pisarza skojarzeniowości, pokrewne. Peiper, choćby nie był nic innego osiągnął, już dlatego nie jest bezwartościowym wygłupkiem, że odważnie i logicznie przewietrzył zatęchłe, rutyniarstwem opancerzone gniazdka „poetyckich możliwości". Skamandryci zaś, choćby właśnie peiperowcy zarządzali co innego, przedarli się przez tyle dziewiczych zakątków człowieczości i z takim artyzmem tajniki owe wypisali, że uważać ich za marne epifenomeny kapitalizmu, a nie dostrzegać ludzi ani (zróżnicowanego wedle osób) piękna może tylko zaślepieniec albo po prostu ślepiec.

VI

Gdyby nawet dzisiejsza poezja polska lichsza była od francuskiej czy niemieckiej, czyżby ją skutecznie w górę wiodły i na zaszczytniejszym poziomie umieszczały wieczne szukania wad i nieustanne przygany? Sądzę, że nie. Sądzę, że krytyk zalety raczej (a nie ma poezji bez zalet) i sam widzieć, i tym, co wzrok mają mniej uczony, poważnie i ochoczo pokazywać powinien. Boś tylko na żyznej glebie życzliwego czytelnictwa i tylko w cieple serdecznej współpracy poetów, krytyków i czytelników szlachetnieć mogą artystyczne płonki, rasowieć style i rodzaje.

Gdzie krytyka i czytelnik cieszyć się umieją poezją, tam ona rośnie śmiało, tam z przyrodzenia samego bujnieje. Ani jej wtedy dla dodania sobie animuszu nie wycudacza ważny społecznie twórca, ani się działalność potrzebnych poetów nie wyradza w ordynarną waśń konkurencyjną.

VII

Powiedział ktoś niedawno, że brak dzisiejszym poetom opiekunów, światłych i możnych mecenasów. Sądzę, że mecenasostwo winno dziś całkiem być odmienne od dawnego. W czasach, kiedy publicznością są lub mogą być miliony, a nie jak ongi nieliczni wybrańcy losu, mecenat musi być społeczny: drukowany.

Nowe zadanie rozwiązywać przyszło krytykowi dzisiejszemu: udostępniać książkę wielogłowemu narodowi, uczyć czytania, kształcić sensorium estetyczne, tworzyć je, gdzie go dotychczas nie ma. A krytykom zdaje się wciąż jeszcze, że istnieją po to, aby uczyć pisania poetów. Lecz i ty, poeto, nie po to jesteś poetą, — byś — nie mówiąc niby nic o sobie — poniżał poetę innego, nie po to także, byś innego poetę tresował.

VIII

Życie nie polega na stawaniu do góry nogami przed Bogiem; praca kulturotwórcza nie jest boksem szyderstwa ani dziwaczeniem pseudoestetycznym. A jeśli do gromady szlachetnych, tj. społecznie wartościowych pracowników, należeć pragnie jednostka, która uprawia krytykę literacką, niechże choć to pamięta, że nie o krytykę dla krytyki idzie ani o krytykę dla zabawienia półludków, łakomych zawsze widowiska razów i czyjegoś padania na łopatki.

Odzyskać, a właściwie pozyskać nowoczesnych odbiorców temu kwiatowi literatury, którym jest poezja, mogą tylko krytycy radośni i afirmatywni. Nie dziur utworu szukać i dziury zwycięsko pokazywać, bo to i handeles potrafi, ale piękna i jego utajonych źródeł dopatrywać się i dopracowywać pospołu z rozciekawionym czytelnikiem winien w zdrowym i celowo zorganizowanym społeczeństwie krytyk. Że zaś nie rozciekawi ani nie zapali nikogo chłodny, próżen entuzjazmu referent (nie mówmy już o poniżaczach i o tępicielach poetów), to rozumiał jeszcze starożytny Cycero, kiedy pisał:

„Nie ma paliwa, które by tak było łatwopalne, iżby się bez podłożenia ognia zapalało. Nie ma też nigdzie duszy, która by tak była podbudliwa i do przyjęcia twego przekonania skłonna, iżby się mogła zapalić, jeśli do niej sam zapalony i płonący nie przystąpisz".

Listy o poezji

Prowincja poetycka

Anna Kamieńska

1964 nr 6

PRZY końcu zimy nadchodził szereg trzeźwych, powszednich, niczym nie znaczonych dni, dni pustych w smaku jak wielkie kołacze, wypiekane we czwartek na cały tydzień i leżące szeregiem na półce w zimne, białe, bezsłoneczne popołudnie.

Dni te wyrastały z swych dwunastu godzin jak wyrostki z przyciasnego ubrania i marzły — co dzień dłuższe, w ciągnące się powoli popołudnie przedwiosenne, w jasne zmierzchy, które nie chciały się kończyć. Wtedy nagle z framugi tygodni wynurzały się Święta Wielkanocne i nagle w pustce dni zaczynał się czas formować w głębi swej barwą i sensem i na scenę wyzuwał się cały ten wielki teatr Paschy, całe te wielopiętrowe misterium prastarej egipskiej wiosny: to wspaniałe i niezgłębione ucztowanie przy długich, białych stołach, w świetle srebrnych świeczników, migocących pod tchnieniem zbyt wielkiej i pustej nocy paschalnej. Te noce paschalne stały jak ciemne kulisy za otwartymi drzwiami domu i rosły od niepojętych i ogromnych spraw, podczas gdy nad lśniącą paradą stołu przystawały na chwilę w kolejności Biblii figury jej zodiaku: plagi egipskie i rozsypywały się w miał gwiezdny, mielone w żarnach tej nocy, która jest inna od wszystkich nocy roku.

Tak rosła ta obca i twarda noc wiosenna w swej głębi od plag i klęsk i wśród rechotu jej gwiazd rozmnażały się żaby, węże i robactwo wszelkie w rośnych przestworach i rodziła się na całej przestrzeni od tajnego działania się, a w sednie jej otwierała się ciemność labiryntami pokoi, czerwonych komór, malowanych szuflad, w których gwałtownie umierali pierworodni, a drzwi zatrzaskiwały się za lamentem rodziców.

A gdy tydzień świąteczny mijał, wsu-

— *Którędy — pytam —*
do Paryża?
— *Paryż? Pewnie za Zduńską*
Wolą...
Jan Huszcza

PRZYTACZAM nienadaremnie wiersz Jana Huszczy, programowego prowincjusza, który znalazłszy się w stolicy zachodniego świata kultury, w Paryżu — szuka nad Sekwaną polskich brzóz i wierzb. W tych wędrówkach towarzyszy mu cień innego prowincjonalnego poety, który też w plusku Sekwany łowił szum Niemna, cień Adama Mickiewicza. Bo o tym właśnie prowincjonalizmie chcę mówić, o tym, który jest wielką siłą poetycką, źródłem inspiracji na całe życie, zbliżeniem do ziemi, do konkretnej ziemi.

Mówić o prowincjonalizmie w Polsce dzisiaj — to trzeba odwagi. Ten temat jest źródłem nieporozumień i rozdrażnień na każdym niemal zjeździe

wano ten spiętrzony teatr Paschy z powrotem w indyferentną ścianę tygodni, która się wygładzała, i ulice biegły znowu pusto i zapomniano właśnie, której jeszcze wciąż nie było.

Aż pewnego dnia, przy końcu kwietnia, było przedpołudnie szare i ciepłe — — ludzie szli, patrząc w ziemię, zawsze w ten metr kwadratowy wilgotnej ciemnej ziemi przed sobą i nie czuli, że bokami mijają drzewa parku, czarno rozgałęzione, pękające w rozlicznych miejscach w słodkie jątrzące się rany.

Uwikłane w czarnej, gałęzistej sieci drzew — szare, duszne niebo leżało ludziom na karku wichrowato-spiętrzone, bezforemne, ciężkie i ogromne, jak pierzyna. Ludzie gramolili się pod nim jak chrabąszcze na rękach i nogach w tej ciepłej wilgoci, obwąchujące czułymi różkami słodką glinę. Świat leżał głuchy, rozwijał się i rósł gdzieś w górze, gdzieś z tyłu i w głębi błogo bezsilny i płynął.

Chwilami zwalniał i przypominał coś mglisto, gałęził się drzewami, oczkorej tekst spływał w wielką szarą bezmyślność dnia, wisieli niezgrabnie w pozie jeszcze wczorajszej i ślinili się bezwiednie. Może ogłuszały ich te gęste grzechotki ćwierkania, te niestrudzone makówki, sypiące szary śrut, którym ćmiło się powietrze. Chodzili pod tym gradem ołowianym i rozmawiali na migi w tej ulewie rzęsistej lub zrezygnowani milczeli.

Ale gdy około jedenastej godziny gdzieś w jakimś punkcie przestrzeni przez wielkie spęczniałe ciało chmur wykłuło się słońce bladym kiełkiem, wtedy nagle w gałęzistych koszach drzew zaświeciły gęsto wszystkie pączki i stary welon ćwierkania oddzielił wał gęstą szarą siatką ćwierkania ptasiego, narzuconą na ten dzień szary i szedł w głąb w wężowanie podziemne korzeni, w ślepe pulsowanie robaków i gąsienic i rósł tym wszystkim, bez miary.

A pod tym bezforemnym ogromem kucali ludzie ogłuszeni i bez myśli w głowie, kucali z głowami w rękach, wisieli zgarbieni na ławkach parków z płatkiem gazety na kolanach, z któ-

WIOSNA

1935 nr 10 **Bruno Schulz**

się powoli blado-złocistą siatką, z twarzy dnia, który otworzył oczy. I to była wiosna.

Wtedy nagle w jednej chwili pusta przed chwilą aleja parku jest zasiana ludźmi śpieszącymi w różne strony, jakby była ona punktem węzłowym wszystkich ulic miasta i zakwita strojami kobiet. Jedne z tych prędkich zgrabnych dziewcząt śpieszą do pracy, do sklepów, inne na schadzki, ale przez chwil parę, podczas których przechodzą ażurowy kosz alei, dyszący wilgocią kwieciarni i nakrapiany trelami ptaków — należą do tej alei, do tej godziny, są, nie wiedząc o tym, statystkami tej sceny w teatrze wiosny, jakgdyby zrodziły się z deptaku razem z delikatnymi cieniami gałązek i listków, pączkującymi w oczach na ciemnozłotym tle wilgotnego żwiru, biegną parę złotych, kosztownych pulsów, a potem nagle zbledną, rozproszą się, przepadną, wsiąkną w piasek, jak te filigrany przeźroczych cieni, gdy słońce wejdzie w zamyślenie obłoków. Ale na tę jedną chwilę zaroiły aleję swym świeżym pośpiechem i z szelestu ich bielizny zdaje się płynąć ten bezimienny zapach alei. Ach, te przewiewne, świeże od mydła koszulki, prowadzone na spacer pod filigranowym cieniem wiosennego korytarza, koszulki z plamami mokrymi pod pachą, schnące we fiołkowych powiewach dali. Ach, te młode, rytmiczne, zgrzane od ruchu nogi w nowych, skrzypiących jedwabiem pończoszkach, pod którymi kryją się czerwone plamy i pryszcze, zdrowe wiosenne wypryski krwi gorącej.

Ach, cały ten park jest teraz bezczelnie pryszczaty i wszystkie drzewa wysypują się pączkami pryszczy, które pękają ćwierkaniem. Potem aleja znowu pustoszeje, po sklepionym deptaku gędoli cicho drucianymi szprychami wózek dziecinny na smukłych resorach. W małym lakierowanem czółenku pogrążone w grządkę wysokich krochmalonych szlar z batystu śpi, jak w bukiecie kwiatów, delikatne i różowe dziecko. Dziewczyna, prowadząca powoli wózek, nachyla się czasem nad nim, przeważa na tylne koła, kwiląc osiami obręczy, ten bujający koszyk rozkwitły białym muślinem i rozdmuchuje pieszczotliwie ten bukiet aż do słodkiego śpiącego jądra, przez którego sen wędruje jak bajka ten przepływ obłoków i świateł. Potem w południe wciąż jeszcze plecie się ten pączkujący wirydarz światłem i cieniem, a przez delikatne oka tej siatki sypie się bez końca jak przez drucianą klatkę, świergot ptaszków z gałązki na gałązkę, ale kobiety przechodzące brzegiem deptaku są już zmęczone i mają włosy rozluźnione od migreny i twarze znękane wiosną, a potem już całkiem pustoszeje aleja, a przez ciszę przedpołudnia przechodzi powoli zapach restauracji z pawilonu parkowego.

Związku Literatów. Już zawczasu cierpnie mi skóra, jak źle zechcą mnie zrozumieć ci, którzy w samym słowie prowincja węszą obelgę i powód obrazy. Ostatecznie większość sporów i dyskusji wynika nie z różnicy poglądów, ale z nieporozumień i braku chęci zrozumienia.

Pisałem np. na tym miejscu o tym, że nie istnieje poezja kobieca, że przymiotnik ten nie może być żadnym wyróżnikiem krytycznym, co wydaje się oczywiste. Odpowiedział mi na to „zb" w „Twórczości", że poezja kobieca istnieje, ponieważ on bardzo wiele jej zawdzięcza. Powstały przy tym nowe rodzaje poezji: „poezja kobieca niekobieca" i „poezja kobieca kobieca". Do tego sporu nie zamierzam wracać, sądzę, że można na ten temat dyskutować tylko przy dobrym winie. Sama sprawa wynikła z mojego zniecierpliwienia, z jakim czytam zawsze o „kobiecej literaturze". Tu zaś chodzi o sprawę bardziej jeszcze drażliwą — o prowincjonalizm!

Sławię i chwalę prowincjonalizm w poezji! Sławię i chwalę poetów, którzy posiadają swój kraj lat dziecinnych, nie wstydzą się go, ale z wdzięcznością wprowadzają do poezji. Jesteśmy przeżarci snobizmem. Przy wszystkich kulturowych pożytkach płynących ze snobizmu i wszelkich ciągot do wszelkich Paryżów — snobizm jest brzydką chorobą polskiej literatury. Powiązanie pisarza z określonym regionem kraju, z okolicą, znajomością jej realiów, umiłowanie jej dróg i dróżek — wszędzie jest w poszanowaniu, jest siłą pisarza, darem losu. Nie bezbarwna stołeczność, ale właśnie konkretny prowincjonalizm jest siłą potencjalną każdego pisarstwa, jego barwą i blaskiem. Tylko nie u nas. Większość naszych poetów chce być od razu na miarę Europy i świata, na miarę ogólnoludzką. Dlatego ich realia są ogólnikowe, żadne, niemal symboliczne, a nawet kosmiczne. W oczekiwaniu na uznanie Europy i sławę więdnie i wysycha źródło poezji. Nasza literatura jest pełna nieudanych geniuszy o chorobliwych ambicjach. I chociaż wielkie ambicje są potrzebne artyście jako doping twórczy — tym razem sławię i chwalę poetycki minimalizm, w istocie o wiele trudniejszy, bo często rezygnujący z doraźnego uznania i powodzenia, często skazany na samotnictwo.

W Polsce są ciągle jeszcze te dwie przeciwne, silne sfery przyciągania: stolica, a z niej — świat, i prowincja, czyli rzeczywiste życie, życie narodu. To przeciwstawienie ciągle istnieje i kształtuje świadomość. Dlaczego? Bo ciągle istnieje jeszcze rozbieżność poziomów życia i niewspółmierność kultury materialnej.

Mimo nowych uniwersytetów, szkół, placówek kultury — są jeszcze wsie bez dróg bitych, są nie skanalizowane miasteczka i dzielnice miasta, są trudności komunikacyjne, zamiecie i powodzie, odcinające całe połacie kraju. Jest jeszcze prowincja. Jest to istotna różnica w barwie kultury, jeśli dziecko brnie do szkoły kilka kilometrów w zaspach i jeśli idzie z ulicy na ulicę prowadzone za rączkę.

Znam jeszcze jednego zagorzałego „prowincjusza" literackiego. To poeta, nauczyciel i działacz — Stefan Gołębiowski. On, który walczy o budowę dróg, melioracje i regulacje rzek, on, pokręcony przez reumatyzm, on, który w zimowy dzień idzie do szkoły przez wielki rynek w Bieżuniu, po którym hula wiatr — zna smak tego, co nazywamy prowincją. Ileż razy przystaje, odpoczywa, łapie dech i rusza dalej. A przy tym buduje nową szkołę, jeździ jako poseł na spotkania w terenie, uczy Horacego i Wergiliusza, pisze wiersze i obcuje z poezją. I jego poezja jest właśnie w najszlachetniejszym sensie tego słowa „prowincjonalna". Nie z powodu niedojrzałości, jest to przecież poezja pełnej kultury literackiej, ale z powodu zrośnięcia z życiem prowincji, z życiem Polski, poezja mądrego człowieka bez poczucia małowartościowości wobec symbolicznego Paryża. Jego Paryż mieści się obok Bieżunia, jak Paryż Huszczy za Zduńską Wolą.

Prowincjonalność albo kresowość były barwami naszej najwybitniejszej poezji — i Mickiewicza, i Słowackiego, i innych wielkich.

W pracy podnoszenia kultury materialnej w naszym kraju poezja ma do wykonania swoją wielką robotę. I tu potrzeba „krzątaniny" poetyckiej. Nici poezji to są wbrew pozorom bardzo mocne nici i tworzą węzły nie do zerwania. Dlatego pielęgnujmy poezję „prowincjonalną" przeciwko bezbarwności, ogólnikowości, przeciwko wszędzie — i nigdzie — bytności naszej poezji. Za mało wyróżniają się barwą i atmosferą poeci różnych naszych środowisk twórczych — zwłaszcza młodzi poeci Szczecina, Gdańska, Bydgoszczy, Lublina, Zielonej Góry.

Trzeba tworzyć w każdej dziedzinie mądry antysnobizm, oparty na pełnym wykształceniu, kulturze i oczytaniu, ale pozbawiony poczucia niższości wobec stolicy i wobec Europy.

Pod tym względem mądrzy są poeci pochodzenia wiejskiego, ci, którzy trzymają się często kurczowo tematu wiejskiego, ziemi a nawet wiejskiej zagrody i źdźbła słomy na podwórku. W tym swoim ograniczeniu są rzetelni i mądrzy. Wiedzą oni, że trzeba mocno wyczuć ziemię pod nogami, aby móc pewniej rozejrzeć się dokoła.

Józef Czechowicz **1933 nr 4**

MROK I ŚWIATŁO

W zmierzchu i śniegu ogród — drzeworyt.
Między smutnemi chochołami biegają dzieci.
W zmierzchu i śniegu roztajały kolory,
gdziekolwiek były i jakie.
Szron świecił.

Maleństwa! Kulki futrzane, wełniane,
na krótkich nóżkach w pałąk
(a moje dzieciństwo tyloma już śniegami owiane
raz jeszcze smutkiem powiało).

Mroźny oddech.
Próżno za ptakiem
goni spojrzenie samotne.
Dzieci ciągną sanki. Niebieski ślad.
Rzucają pociski śnieżne. Światłem dziurawią zmierzch,
który siny i ranny na śniegach się kładł,
nieuchwytny zwierz.

Czyjś głos woła z za szyby. Wszyscy z ogrodu wychodzą.
To tylko linje drzew:
drzewa cieniami się grodzą.
Skąd cienie? — zaczyna się latarń gazowych śpiew.

Mrok żółkniejący światłem. Chochoły.
Z nieruchomych gałęzi opada chrzęszczące szkliwo.
Dzwonią kościoły.
Wcześnie. Ciemno. Smutno. Ckliwo.

Czesław Miłosz 1934 nr 5

ŚWITY

Wysoki był dom. W ciemności pełzł wielki mur
nad szelest liści u klonów, nad zamęt pośpiesznych nóg.
Wysoki był dom, światłami nad placem wschodził.
Z sykiem cichym wśród pustych przedświtowych godzin
winda parła przez piętra. Kable szeleściły,
kogut krzykiem w organy deszczowych rynien i rur
dął, aż domem biegł dreszcz. Słyszeli przebudzeni
w ścianach ten śpiew straszny jak szczęście ziemi.

Już zgrzyta tor. I dzień. I znowu dymy
O, ciemny dzień. Nad nami zamkniętymi
w izbach na piętrze przelatują stada
ptaków szumiących śmiganiem piór.
Za mało. Życia jednego za mało.
Dwa razy żyć chciałbym na smutnej planecie
w miastach samotnych, we wsiach pełnych głodu.
Patrzeć na wszelkie zło na rozpad ciał
i prawa zbadać, którym był podległy
czas, co nad nami jak wiatr ze świstem wiał.

Chórem zawodzą w podwórzu kamienicy
muzykanci. U okien świecą ręce zasłuchanych.
Ona wstaje ze zmiętej pościeli.
O sukniach i podróżach w swoich snach myślała.
Przed czarne lustro idzie. Młodość krótko trwała,
nie wiedział nikt, że praca dzień rozdzieli
na wielki trud, na martwy odpoczynek
i księżyc w nocy co wiosna przystanie
nad snem znużonych. W stuku ciężkim serc
nam ani wiosna już, ani kochanie.

Uda zasłonić, niech nie wspominają
kłębami cienkich fioletowych żył:
to dziecko goni schodami kamienicy,
to dziecko biegnie siwym trotuarem.
Jeszcze daleko słychać śmiech;
na nowo, wszystko na nowo pozna
i drogą olbrzymią pustą, mroźną
dzwoniącym grzmotem tętnic obszarem
pójdzie jej dziecko. I wyć będzie czas.
Przed lustrem nago stojąc dwie łzy
lekko wyciera kobieta chusteczką
i farbą przyciemnia brew.

Julian Przyboś 1937 nr 1

POMNIK

Dachy — obłupione przez dozorców pasami na flagi.
Ulice — wycelowane w pomnik.
Waltornie wyryczały gromadę, capstrzyk stado wytupał.
Chór —
i pode mną wzbił się dom — i stał nagły.

Jakby werbel strop nad głową rozłupał.

I tu, wysoko nad miastem, po kolumnach się do mnie
wyspinają, wyszumują na postument ——
(armaty — wylotami w pomnik)
runą pierwszymi piętrami na pierwszego trupa.

Mur
podmyty tłumem:
pomnik.

Sergiusz Jesienin 1934 nr 3

✿ ✿ ✿

Za niebem tęskni moja dusza,
wygnanka z włości mlecznej drogi,
lubię, gdy widzę jak się rusza
wśród gęstwi drzew zielony ogień.

Bo to gałązki złotogłowe,
jak świeczki tlą się przed nieznanem
i rozkwitają gwiazdy-słowa
na ich listowiu młodocianem.

Choć dobrze ziemi głos rozumiem,
nie zbędę męki tej, niestety,
jak rów z wód strząsnąć swych nie umie
odbitej z niebnych pól komety.

Tak konie swemi ogonami
nie strząsną z grzbietów swych miesiąca...
O, gdyby przeróść móc oczami
tak jak te liście w głąb kuszącą!

(Z rosyjskiego przełożył: **K. A. Jaworski**)

Maria Józefiacka 1968 nr 15

* * *

może oni powrócą bezszelestnym krokiem
zasiądą niewidzialni w kręgu oceanów
pomordowani
głodem wzięci
zarażeni

może już i narada skończona a oni
trzepoczą dookoła w rytualnym tańcu
niepochwytnych
nieskorych do odwrotu cieni

może to właśnie oni w białe manhattany
patrzą jak na przykutych do pala
i tchórzy

a może
sprawiedliwość późną wymierzając
tę okrutną zabawę zapragną
przedłużyć

Rafał Wojaczek 1971 nr 6

PERSPEKTYWA-EROTYK

twoje ciało moje dzieło z gliny głodu
wyrzeźbione fantastycznie czułym dłutem
precyzyjnej dłoni tętna świetną lampą
serca w pełni znakomicie oświetlone

gdy paruje niewidzialnym światłem ciepła
twoja skóra się wydaje być jak ciekła
widzę cyple sutków spina parabola
stromej tęczy za tą bramą mi nie znana

jeszcze bliżej twarz lecz blisko piąstka pięty
gdy podnosisz nogę długa perspektywa
nieskończonej łydki uda milowego
ile metrów warg mieć trzeba by całować

Edward Stachura 1972 nr 12

ŻYCIE TO NIE TEATR

Życie to jest teatr, mówisz ciągle, opowiadasz;
Maski coraz nowe, coraz inne się nakłada;
Wszystko to zabawa, wszystko to jest jedna gra
Przy otwartych i zamkniętych drzwiach!

To jest gra!

Życie to nie teatr, ja ci na to odpowiadam;
Życie to nie tylko ciągła, barwna maskarada;
Życie jest straszniejsze i piękniejsze jeszcze jest;
Wszystko przy nim blednie, blednie nawet sama śmierć!
Ty i ja — teatry to są dwa!

Albo trzy!

Ty — ty prawdziwej nie uronisz łzy!
Ty najwyżej w górę wznosisz brwi!
Nawet kiedy źle ci jest, to nie jest źle!

Bo ty grasz!

Ja — duszę na ramieniu wiecznie mam!
Cały jestem zbudowany z ran!
Lecz kaleką nie ja jestem, tylko ty!

II

Dzisiaj bankiet po spektaklu, ty się tam wybierasz;
Gości będzie dużo, bardzo gęsta tyraliera;
Flirt i alkohole, może tańce będą też,
Drzwi otwarte zamkną potem się!

No i cześć!

Wpadnę tam na chwilę, zanim spuchnie atmosfera;
Wódki dwie wypiję, potem cicho się pozbieram;
Wyjdę na ulice, przy fontannie zmoczę łeb;
Wyjdę na przestworza, przecudowny stworzę wiersz!
Ty i ja — teatry to są dwa!

Albo trzy!

Ty — ty prawdziwej nie uronisz łzy!
Ty najwyżej w górę wznosisz brwi!
I niezaraźliwy wcale jest twój śmiech!

Bo ty grasz!

Ja — duszę na ramieniu wiecznie mam!
Cały jestem zbudowany z ran!
Lecz gdy śmieję się, to wszyscy śmieją się!

Cały świat!

POWRÓT Z WARSZAWY

1974 nr 7

Janusz Olczak

WRÓCILIŚMY na stację, ale okazało się, że mamy jeszcze kilka godzin do odjazdu pociągu. Szwendaliśmy się po całym dworcu, a szczególnie po peronie, z którego miał odjeżdżać nasz pociąg.

— O szesnastej z minutami pojedzie pociąg z dwoma wariatami — powiedziała Grzdylówna i zaśmiała się bardzo niefrasobliwie, rozbawiona swoim własnym wierszykiem. Wtedy podeszli do nas sokiści, wylegitymowali nas, sprawdzili zgodność trasy na naszych biletach z miejscowością na legitymacji szkolnej, zasalutowali i poszli. Tymczasem zaczepił nas jakiś chłopiec.

— Byliście w zoologu? — zapytał — Nie? A ja właśnie z zoologu uciekłem. Dałem dyla prosto na stację.

— Jak to z zoologu? — zainteresowałem się wbrew własnym postanowieniom nie wdawania się z nikim w żadne pogawędki.

— Normalnie, ojciec świnia, siostry złośliwe małpy, a starszy brat to goryl. Boks trenuje razem ze swoim złamanym nosem.

— I gdzie masz zamiar jechać? — spytałem jeszcze raz naruszając swoje postanowienie.

— Nad morze.

— Co tam będziesz robił? — Nie wiem dlaczego coraz bardziej interesowałem się tą historią.

— Stamtąd pojadę za morze.

— Za morzami też trzeba coś robić.

— Wpierw tam muszę dojechać, a dopiero potem się o to martwić.

Z dalszej rozmowy okazało się, że jego ojciec jest profesorem, to znaczy takim nauczycielem, który uczy innych nauczycieli, czyli jak to się mówi nauczycielem do kwadratu. Takiego nauczyciela to już wręcz trudno było sobie wyobrazić.

— Mój ojciec to świnia, pierwsza świnia na księżycu — mówił chłopiec z nienawiścią. — Księżycowy facet, żyje nie na tej ziemi. Uważa się chyba za poetę, bo cały aż rozkwita, kiedy mówi o czymś ze swojej branży. Tylko ja go nic nie obchodzę i jak sam twierdzi, na mój temat woli nie rozmawiać. Może się zmartwi dopiero wtedy, gdy już mnie z tydzień nie będzie w domu, ale on i przez miesiąc nie zauważy mojej nieobecności, bo wydaje mu się, że ma za dużo dzieci. Każdy z nas przeszkadza mu na swój sposób. Do sióstr przychodzą studenci, nadęte lizusy — niby kochają się w siostrach, ale przychodzą podlizywać się panu profesorowi, bo on jest ostry dla ludzi jak siekiera. Wydaje mi się, że najchętniej to byłby katem. To taki poeta od stawiania dwój studentom. Jeden dwójarz rzucił mu się pod nogi, ale mu rury nie zmiękczył. Drugim razem rzuciła mu się do nóg czyjaś tam matka, a on też wyszedł z pokoju. Jej też jakby dał dwóję za padanie do nóg. Wydaje mu się, że skrawanie metali to wielka poezja i stawia dwóje bez pardonu każdemu, kto tak nie myśli. Mój brat, jego syn, też studiuje u niego, ale on dwói nie dostanie, bo jest wielkim panem sportowcem, szanowanym imć jegomościem bokserem. Dali by ojcu po nosie w dziekanacie, gdyby próbował usadzić!

Wypowiedziawszy to wszystko bardzo szybko, chłopiec poprawił krawat. To w nim właśnie było nieoczekiwane, ten krawat, ale elegancja ludzi miastowych była często taka nieoczekiwana, że to już mnie nie raziło. Grzdylówna, uchodząca u nas za strojnisię, wyglądała tu na szarą gęś, niemal się jej wstydziłem. A co dopiero mówić o mnie! Jakże ja musiałem wyglądać paskudnie! Wszystko miałem nowe, prosto spod igły z miasteczkowego domu mody, ale jakoś nie dopasowane do siebie w częściach. Spojrzałem na krawat tego chłopca i zawstydziłem się Grzdylówny przed nim, nie przed chłopcem już chyba, ale przed samym krawatem.

— Do jakiej szkoły chodzicie? Do rolniczej? — spytał Krawat jakby czytając w moich rozmyślaniach. Wydawał mi się jasnowidzący i nie mogłem kłamać, choć kłamstwo tak łatwo przechodziło mi przez gardło wobec dorosłych niemal chłopaków jadących do wojska.

— Do podstawówki — powiedziałem, a Grzdylówna skrzywiła się z niesmakiem. Zapomniałem, że mieliśmy w podróży udawać licealistów z miasteczka. Zresztą w tym poważnym już wieku nie umiałem jeszcze kłamać. Powód był taki, że zmroził mnie ten krawat, jeszcze do dziś pamiętam, że malowany „na picassa".

— Ja już mam to poza sobą — powiedział Krawat bardzo naturalnie.

Po tym oświadczeniu wydawał mi się teraz równie uczony jak jego ojciec profesor. W tym krawaciku mógłby uchodzić przede mną nawet za studenta i też bym się nie zdziwił.

— Słuchajcie — powiedział obejmując od razu nad nami przewodnictwo. — Jedziemy razem w tym samym kierunku, tylko że ja pruję prosto nad morze, do odjazdu mamy jeszcze kilka godzin. Po co tu mamy siedzieć? Raz już was legitymowali to mogą i drugi raz to zrobić. Idziemy się przejść. Muszę się zresztą pożegnać z ferajną ze swojej meliny.

— Do meliny nie chodzę — powiedziała naindyczona i nabzdyczona Grzdylówna.

— To jest bardzo wytworna melina — powiedział Krawat rozluźniając węzeł u gardzieli. — To taka nasza licealna komuna. Gigi matka wyjechała do Francji na stypendium i ona została sama z babcią, ale babcię pogotowie zabrało do szpitala. Starym ludziom to się często przytrafia bez żadnej okazji. Podobnie było tym razem.

Melina rzeczywiście była wykwintna. Żebym nie jechał windą na dziesiąte piętro, to myślałbym, że jestem w pałacu. W olbrzymich ramach wisiały jakieś zamazane krajobrazy, zresztą tylko te ramy były w tym mieszkaniu ciężkie. Mebelki były takie kruche i kolorowe, że zdawały się być zrobione z pianki mydlanej. Kilkuosobowe, bardzo wykwintne towarzystwo piło herbatę i rozmawiało o jazzie.

— A więc jedziesz nad to swoje morze? — spytał jakiś elegant. — Czy to są ludzie znad morza?

— Mieszkają niedaleko stamtąd.

— Dwóch marynarzy dzierżawi u nas stawy rybne — powiedziałem ni w pięć ni w dziesięć.

— Morze to też prowincja — powiedziała jakaś gęś i dostała szybko po nosie od swojej sąsiadki, która stwierdziła, że morze jest cudowne. Ona urodziła się nad morzem.

— Wolę góry — upierała się gęś, może dlatego, że gęś jest ptakiem i marzy o wysokościach.

— W szkole powiedzcie, że choruję — poinstruował Krawat inne krawaty i zaczął się żegnać.

— Połamania kości — powiedział do mnie jakiś sympatyczny elegancik, taki modny wiercipięta i dodał: — Tylko nie utopcie go w tych swoich morzach czy stawach rybnych. To nasz szkolny poeta. Kto wtedy będzie pisał fraszki na nauczycieli?

Zamilkł, ale jak każdemu wiercipięcie wydało mu się, że powiedział za mało. Przypomniał sobie nagle, że jest tamtemu winien pięć dych. Sięgnął do kieszeni, grzebał w niej bardzo długo, wyciągnął portfel i zwrócił należność.

— W podróży nigdy nie jest za dużo forsy — powiedział mrużąc oczy przed dymem z papierosa.

Zjechaliśmy z meliny windą. To było dla mnie spore przeżycie, bowiem po raz pierwszy jechałem windą. Zawsze moje jazdy odbywały się horyzontalnie, a teraz jak ptak pokonywałem piony. Sam sobie zaimponowałem, choć jednocześnie wiedziałem, że nie mam czym sobie mydlić oczu. Przecież chcę zostać szoferem a nie windziarzem.

Na samym dole Krawat przypomniał sobie o drugim dłużniku i poprowadził nas w dół do suteryny jakiegoś domu. To była prawdziwa melina. W brudnym, żelaznym łóżku, zaopatrzonym jedynie w materace, z których wyłaziło włosie, spał jakiś mężczyzna w zmiętym, ale eleganckim garniturku. Nie wiem, może miałem hyzia, jednakże wszyscy wtedy wydawali mi się elegantami, nawet ten zalzawiony pijaczyna, który mógłby przynajmniej raz na rok pozamiatać i zrobić u siebie wiosenne porządki.

— Ja zaczekam na ulicy — powiedziała Grzdylówna oszołomiona tym widokiem tak bardzo dla niej niewarszawskim.

— Panie kierowniku — szarpał śpiącego Krawat — proszę się obudzić. Panie kierowniku! — wrzesnął wreszcie robiąc do mnie oko — Milicja!

To pomogło. Kierownik zerwał się na równe nogi, jedną ręką poprawił fryzurę, drugą krawat, wreszcie dwoma rozłożonymi rękoma wskazał krzesła.

— Siadajcie chłopcy. Masz jakieś nowe książki? — zwrócił się do Krawata.

— Jest mi pan jeszcze winien za poprzedni transport. Przychodzę po należność.

— Prawda, zapomniałem — zaczął szperać po kieszeniach i wyjął długopis. — Może chcesz zamiast tego długopis? Obejrzyj go sobie.

Manipulował nim w ten sposób, że ukazywały się coraz to inne gołe kobiety.

— Mnie to nie interesuje — powiedział Krawat ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu. Zastanawiałem się, czy nie kupić czegoś takiego fikuśnego. Cała nasza kawalerka zaryczałaby się ze śmiechu, a już największym od tego rzeczoznawcą był mój brat, któremu zresztą czasami wystarczyło pokazać palce, żeby go doprowadzić do skurczów żołądka.

Elegancki obszarpaniec sumiennie obszukiwał wszystkie swoje kieszenie.

— Wygląda na to, że nie mam ni grosza. Dysponuję gotówką za dwie godziny. Słowo handlowca.

— Za dwie godziny mnie już nie będzie — powiedział Krawat takim ponurym głosem jakby miał zamiar popełnić samobójstwo i zniknąć raz na zawsze.

— Czyżby? — spytał elegant ironicznie. — Mam tylko dolara. Chcesz, to mogę dać ci dolara.

— Niech będzie — grymasił Krawat, a ja wtedy nie wytrzymałem i spytałem, ile chce za ten długopis.

Mężczyzna obrzucił mnie długim, od stóp do głów spojrzeniem, zafrasował się i powiedział, że na zadatek naszej przyjaźni oddałby mi go za darmo, ale sam widziałem, że jest bez płynnej gotówki.

— Niech będzie pięć dych. Tracę na tym stówę. Na zadatek przyszłej przyjaźni.

Mężczyzna wziął pieniądze i przekazał je Krawatowi, który dalej był niezadowolony.

Zabrałem długopis i natychmiast straszliwie zawstydziłem się przed Grzdylówną, choć wpierw roiłem sobie w jakie to ja ją wprawię zakłopotanie. Kobiety na długopisie wydawały mi się straszliwe.

Zostało nam już chyba z godzinę do odjazdu pociągu, kiedy Grzdylówna urwała się gdzieś na stronę, a Krawat opowiedział mi swoją tajemnicę. Z facetem z suteryny wiążą go interesy handlowe, przez które musi teraz uciekać z domu, bo go sumienie gryzie. Otóż kłócił się ze swoim ojcem, ale w żaden sposób nie mógł mu dopiec do żywego. Stary był wyższy ponad wszystko i w ogóle nie gadał z facetem poniżej profesora czy wiceministra. Wtedy Krawat jako poeta zauważył, że tylko jedno go cieszy — książki — szczególnie te z dedykacjami różnych zagranicznych bubków, kumpli od różnych konferencji. Wykradał je z półek i sprzedawał temu facetowi w suterenie, który miał chody w różnych książkowych kanałach i przeciekach, bo sam kiedyś też był ambitny i znał się na starych książkach.

Sprzedał już tych książek chyba z dziesięć albo piętnaście, a stary nic nie zauważył, bo jak się okazało, w ogóle do tych biblii nie zaglądał. Zbierał je tylko jak sroka i spoglądał jak obrastają kurzem.

— To mnie dopiekło do żywego — mówił Krawat — a przecież kradłem po to, żeby jemu dopiec, jemu zrobić na złość. Teraz jestem w podwójnej kropce, bo jak prawdziwy złodziej mam również ciężkie wyrzuty sumienia. Po diabła robię te świństwa swojemu staremu? Przecież nie robi mi nic złego, nie chce tylko ze mną gadać. Zdenerwowałem się, napisałem list, wszystko wyjaśniłem i uciekłem z domu. Niech ma nareszcie jakiś problem nienaukowy do rozwiązania. Życie nie składa się tylko z samych problemów naukowych, które nietrudno rozgryźć fachowcowi. Niech wie, że żyje nie na księżycu. Widziałem różnych poetów na wieczorach autorskich, ale oni nie są tacy poetyccy jak mój staruszek. Idealista jak Byron.

— Hm — powiedziałem nie wiedząc, co mu powiedzieć. — Więc napisałeś list. To chyba dobrze. A fraszki też piszesz, jak mówił tamten? — dodałem bezsensownie.

Krawat usłyszawszy to niemal się obraził myśląc, że kpię sobie z niego.

— Przepraszam — mówię. — Nie o to mi chodziło, bo widzisz, ja ze Siedziem piszę powieść.

— Kto to jest Siedź? — spytał mnie Krawat ciągle jeszcze naburmuszony i wtedy właśnie nadeszła Grzdylówna, również w nie najlepszym humorze.

— Siedź? — powiedziała za mnie — to słona ryba, a także jeden taki dureń z naszej szkoły, o którym lepiej nie mówić, bo są dużo ciekawsze tematy.

— Siedź jest człowiekiem o key — mówię. — Chudy, ale silny i dobrze pływa.

— Czy widziałeś śledzia, który nie umiałby pływać? — odgryzła się Grzdylówna.

Akurat wtedy podstawiono pociąg i rzuciliśmy się do wagonów.

(Fragment powieści pt. „Pierwszy i ostatni rok w nowej szkole", która otrzymała drugą nagrodę na konkursie LSW).

DROGOWSKAZY

Do szeregu osobistości ze świata kultury, nauki i sztuki zwróciliśmy się z prośbą o wypowiedź na temat zasad, którymi kierują się w życiu, pracy twórczej i działalności społecznej. Zależało nam na uzyskaniu czegoś w rodzaju autokomentarza ludzi, którzy dali się poznać od strony swoich osiągnięć, przy czym nie chodziło nam o otrzymanie „przepisu na sukces" lecz orientacji ustalającej kierunek życiowych zamierzeń. Prosiliśmy o krótkie wypowiedzi, by tym wyraźniej wyszła na jaw generalna linia postępowania. [...]

Władysław Tatarkiewicz

1979 nr 23

JESTEM bardzo stary: urodziłem się i chodziłem do szkół jeszcze w XIX wieku.

Pierwsza moja książka była napisana w 1908 r., a wydano ją w obcym języku w 1910 r. Na polski została przełożona i wydana dopiero w roku bieżącym.

Nadal jeszcze piszę: ukazuje się moja książka — moja autobiografia łącznie z autobiografią mej Żony.

Jest mi przyjemnie (jest to chyba niewinna słabość), że książki moje ukazują się w bardzo wysokich nakładach i w przekładach na wiele języków obcych.

Zajmowałem się w ciągu życia głównie dwiema dziedzinami: historią filozofii a w szczególności estetyki oraz historią architektury, w szczególności polskiej z XVII i XVIII wieku: ta dwoistość nie przeszkadzała mi, był to niezły płodozmian.

Cechą myc prac była wielorakość, przerzucałem się z tematu na temat, jednakże była w tym pewna ciągłość i metoda.

Cechą był również pluralizm: podobne zagadnienia można rozmaicie rozwiązywać nie mijając się z prawdą.

Aspiracją moją w myśleniu i pisaniu była zawsze jasność i możliwa prostota. Zdaje mi się, że dało to dość dobry wynik.

Mam uczucie, że wykorzystałem to, co mi dała natura i pomyślne na ogół losy.

Wyrazów uznania i nagród otrzymałem więcej niż się mogłem spodziewać.

Szymon Kobyliński

1979 nr 25

ILEKROĆ słyszę bzdurę zawartą w zdaniu „stare normy etyczne się przeżyły" tylekroć ogarnia mnie zgroza, że tym oto zdaniem doszedł do głosu typ ludzi, którzy się zawsze samozwalniali z uznawania norm, ale dawniej nie mieli dosyć bezczelności, by rzecz jawnie — i jako rzekomy fakt — proklamować. Sam kieruję się światopoglądem racjonalistycznym, lecz i z tego punktu mogę pytać: A cóż się to niby przeżyło?! Który mianowicie składnik (Dekalogu) wynikłego z jeszcze dawniejszych formuł moralnych (??). Przykazania na pozór ściśle religijne trwają przecież u nas jako świeckie w tym sensie, że „nie będziesz miał innych bogów" oznacza prostą lojalność wobec raz przyjętej doktryny, nieużywanie imienia bożego nadaremno to wstręt do pustych sloganowych deklaracji, a „święcenie dnia świętego" równa się konstytucyjnemu prawu do wypoczynku. Reszta zaś obowiązuje jak najdosłowniej i tkwi w czynnych kodeksach, gdyż ciągle jest zbrodnią morderstwo, przestępstwem kradzież i fałszywe świadectwo, rzeczą naganną zdrada małżeńska, pożądanie cudzej partnerki i cudzych dóbr, no a cześć dla ojca i matki codziennie nam zaleca program TV „W kręgu rodziny"... — Więc cóż miałoby ulec zmianie? Chyba jedynie sytuacja, w jakiej obok osób wyznających któryś kult, czyli przekonanych, iż ich po śmierci zewnętrzna siła nadprzyrodzona rozliczy z rejestru grzechów i cnót — gęściej mnożą się ludzie sądzący, że w braku nadrzędnego ducha winni samodzielnie, dzięki wewnętrznej dyscyplinie, już za życia przeprowadzić bilans swojej prawości wobec społeczeństwa i własnego sumienia.

Nie zawsze wychodzi to w praktyce najlepiej, ale bo też Wielką Brytanię trapią liczne wypadki drogowe, chociaż kierowców uczy się tam — idealnej także we wszystkich stosunkach międzyludzkich — reguły: „Myśl tylko o innych, o tobie pomyślą oni!". Co do mnie, usiłuję się tej regule podporządkować, właśnie jako należący do drugiej z wymienionych grup światopoglądowych, a czy to się udaje, niech już osądza moje otoczenie.

Włodzimierz Sedlak

1979 nr 26

WYRASTAJĄC z parszywych warunków dzieciństwa ocalić ludzki wdzięk i nie zgorzknieć. Połączyć twardość karborundu z miękkością matki. Zamknąć w sobie wszystkie kontrasty w dynamiczną całość. Życie jest strategią — do wygrania wszystko, do stracenia tylko ono. Wyzwolić komfort intelektualny w prymitywnych warunkach codzienności. W kompresji słabego zdrowia i warunków wypracować niezależność twórczego myślenia bez uniżoności względem idolów, autorytetów i potentatów. Indywidualny styl życia i metoda badania, oszczędna, bo na własnym rozrachunku, za to z poczuciem wolności i szerokimi horyzontami wyników. Tak stałem się syntetykiem własnego życia i syntetykiem w nauce. Zwłaszcza w biologii. Podziw dla ludzkich osiągnięć nie wyklucza świadomości, że to ani wszystko już, ani bezbłędne. W nauce istnieje szeroki margines. Jeśli pragnie się być twórcą, a nie tylko erudytą, trzeba się wyrzucić poza ścieżkę deptaną w gęsim szeregu. Najciekawszego nie ma jeszcze w banku danych. Intryguje zaś w przyrodzie nieodgadnięte, czekające na śmiałka i ryzykanta, a może tylko na człowieka nie większego od przyrody. Intuicja daje wstępną orientację, czego nauce brak i na co czeka świat. Trzeba jednak badać. Marynarska komenda: „Cała naprzód" — bywa pomocna. Ośrodki naukowego myślenia znajdują się wbrew logice nie wyłącznie w głowie, a w jej antypodach. Przy robocie trzeba siedzieć — wytrwale, systematycznie, konsekwentnie, do skutku. Żabim skokiem nie dojdzie do poznania przyrody. Syntetyk wykorzystuje informacyjną sieczkę empiryczną coraz drobniej ciętą. Musi do niej interdyscyplinarnie podchodzić. By nie zagubić się w bezmiarze szczegółów, zakłada filtry proponowanego modelu, np. bioelektronicznego, i zbiera tylko, co należy. Nie magazynuje informacji, „metabolizuje" ją w nową konstrukcję myślową oddającą nieuchwytne dotychczas mechanizmy działania przyrody. Ryzyko pomyłki jest tu znacznie mniejsze niż ryzyko niezrobienia niczego w życiu. Manifesty należy przede wszystkim sobie pisać, jeśli zamierza się czegoś dokonać.

Józef Szajna

1980 nr 1

TWORZENIE wartości tłumaczy mi się jako konieczność i prawidłowość postępowania ludzkiego — nie tylko artystycznego. Unikam sformułowań w stylu „artysta a społeczeństwo" bo brzmi to tak, jakbym nie był jednym z wielu. Nie obstaję przy tradycji, bo ją w sobie noszę. Wyróżnikiem człowieka staje się jego wnoszenie rzeczy pożytecznych dla innych ludzi, a nie chęć sukcesu, który stał się możliwy i powszechnie dostępny. Ciekawość rzeczy sprowadza nas często w rejony nieznane, sięga prawdopodobieństwa. Chęć poznawania pogłębia w nas samych tajemnicę istnienia, staje się progiem, poza którym istnieje tylko metaczas, wiara w życie niedostępne codzienności. Wizje te są na tyle konstruktywne, co i pełne alogiczności, granicza z ryzykiem osobistego wyboru. Wiedza nie utożsamia się tu z doświadczeniem, a koncepcja z realizacją. Między chaosem a naszym „ratio" zostaje postawiony znak równości zmagających się sił i świadomość przemijalności struktur myślowych i formalnych.

Jerzy Topolski

1980 nr 2

MYŚLĘ, że „układ sterujący" mym życiem i postępowaniem mógłbym zrekonstruować względnie prosto. Jest to zakładana konsekwencja w działaniu oraz elastyczne formułowanie celów tego działania. Elastyczne formułowanie celów nie oznacza indyferencji w odniesieniu do nich, lecz działanie w paru kierunkach (oczywiście powiązanych jakąś ogólną ideą, wynikającą z określonego rozumienia świata). Wówczas mniejsze sukcesy w realizacji jednego z celów — a także porażki — rekompensowane są przez realizację innych zamierzeń. Konsekwencji zatem nie rozumiem jako dogmatyzmu, lecz jako możliwie racjonalne działanie, liczące się także z trudnościami. Za najważniejszą cechę i niezbędne „wyposażenie" intelektualne ludzi nauki (oczywiście nie tylko) uważam wyobraźnię. Z nią zaś wiążą się marzenia, także marzenia o uzyskanych wynikach, osiągnięciach. Plany powinny być zawsze ambitne, im ambitniejsze, tym w większym stopniu mogą zostać zrealizowane. Dążąc do własnych celów chcę pamiętać o tym, że historia to globalny rezultat mnogości krzyżujących się działań. Warto wiedzieć, jakie jest w tym miejsce naszego działania.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

1980 nr 4

SŁYSZAŁEM niegdyś, jak mawiano na warszawskiej Woli, gdziem się wychowywał w robociarskim środowisku, że życie nie jest romansem, a jeśli już romansem, to romansem z nędzą. Gdy to żartobliwie tam powtarzano, uśmiechano się przy tym wzgardliwie, manifestując lekceważący stosunek do trudności, jakich nie szczędzi nam życie. Tego to lekceważenia przeszkód na drogach życia uczono mnie na warszawskim Powiślu i warszawskiej Woli, kiedy były one jeszcze na wskroś robociarskimi dzielnicami Warszawy. Od tamtych czasów wiele się zmieniło na Powiślu i Woli, w Polsce i na całym świecie, ale lekcjom, jakie brałem w dzieciństwie od zahartowanych w borykaniu się z losem tamtejszych ludzi, pozostaję wierny. Uparcie biorę się za łeb, bo o tym tak się mówi po polsku, z przeciwnościami na drogach mojego życia.

Tamże, na Powiślu i na Woli, oraz w szkole, do której uczęszczałem przez dziewięć lat, w warszawskim Gimnazjum Humanistycznym im. Mikołaja Reja, uczono mnie, że w życiu trzeba mieć cel, a im cel bywa piękniejszy, tym godniejszym się jest ludzkiego szacunku. I tę lekcję wziąłem sobie głęboko do serca. Jestem za nią do zgonu wdzięczny moim nauczycielom.

Matka moja, która oddała swoje piękne życie w kaźni Ravensbrück, uczyła dzieci, że trzeba służyć ludziom. A że pamięć matki jest dla mnie święta, w pracy pisarskiej i w działalności społeczno-organizacyjnej staram się czynić zadość temu, czego wymagała od dzieci i przede wszystkim od siebie, będąc dla nas wspaniałym wzorem postępowania w życiu.

Innych zasad nie mam, ściślej zaś biorąc, wszystkie inne zasady, idee, myśli moje podporządkowane są najściślej tym trzem podstawowym przykazaniom, na których zbudowany jest cały mój system ideowy: społeczno-polityczny, moralny i estetyczny. Jest on najzupełniej spójny i gdyby choć jedną z wymienionych na początku zasad podważyć, diabli by go wzięli.

Lesław M. Bartelski

1980 nr 6

BYĆ I POZOSTAĆ wiernym sobie przez całe życie wydaje mi się zadaniem najważniejszym, ale i najtrudniejszym. W młodości nie wiedziałem dokładnie, co to znaczy, choć szukałem raczej intuicyjnie niż świadomie właściwych ideałów. Przeszedłem przez różne środowiska, żadne mnie jednak nie zafrapowało. Dopiero wojna nadała sens mojemu życiu, ukształtowała psychicznie, a także intelektualnie; decydującym w tej mierze czynnikiem było spotkanie kilku moich rówieśników, jak Tadeusza Gajcego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Zdzisława Stroińskiego czy Andrzeja Trzebińskiego, niestety poległych w latach okupacji i Powstaniu Warszawskim.

Wierność przyjaźniom i wyniesionym ze wspólnej walki przesłaniom artystycznym uznałem za jeden z podstawowych elementów mojego działania i postawy życiowej. Już w lutym 1945 roku na zebraniu Klubu Literackiego w Lublinie wygłosiłem przemówienie w obronie moich przyjaciół i od tamtej chwili aż po dziś dzień pozostałem wierny ich pamięci. Stąd moje książki o nich i stąd też wydawanie ich dzieł (Gajcy, Stroiński).

Dopiero po wielu latach jako człowiek dojrzały zrozumiałem, że moje pokolenie przyjęło na siebie dość wcześnie odpowiedzialność za rzeczywistość, odpowiedzialność faktyczną czy wyśnioną, gdyż niejednokrotnie przekonywałem się, jak niewiele może zdziałać człowiek przeciwko wyrokom losu.

Doświadczenia z tamtego, wojennego okresu wpłynęły także decydująco na pojmowanie przeze mnie obowiązków i przeświadczenie, że każdy dzień życia może okazać się ostatnim. Staram się też w swej działalności społecznej pomagać młodym, nie tyle z poczucia życzliwości, ile z głębokiego przekonania, że właśnie młodzi potrzebują pomocnej ręki. Obdarzyć kogoś zaufaniem, to w pewnym sensie nobilitować go społecznie i moralnie. Rzadko też spotkałem się w moim doświadczeniu, żeby ktoś to zaufanie zawiódł.

Iść przed siebie, jak się szło przez lata, nie jest wcale czymś łatwym, przymierzam więc moje siły nie tyle

NUMER JUBILEUSZOWY: dwudziestolecie uznowienia „Kamenę" po woj

Kamena

Rok założenia 1933 (XXXII) • Lublin 15.XI—15.XII.1985 Nr 21-22 (331-332) • cena 3 zł

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO—KULTURALNY

16 stron

Pierwsze strony...

Tradycja i dzień dzisiejszy

do zamiarów, ile do rzeczywistości, a będąc z natury optymistą, wierzę w przyszłość. Bez jej wiary nie wiem, czy bym przetrwał w latach wojny. Wiary w człowieka.

Julian Kawalec

1980 nr 12

GDY MYŚLĘ, jak mam odpowiedzieć na ankietę „Kameny", przychodzi słowo — korzenie; i zaraz dochodzę do wniosku, że to słowo musiało się zjawić, bo nie może być innego wyboru: że wypowiedziawszy je, chwyciłem niejako siebie i teraz już wiem, że tym, co ono zawiera w sobie, mogę i powinienem określić to, co w moim życiu ważne, główne, co decyduje o moim wzruszeniu, refleksji i ambicji, co jest moją bronią, obroną i przystanią...

Jeśli chodzi o moje życie, korzenie idą na głębokość dziesiątków lat, przebijają lata wojny, sięgają wsi starej, skrzywdzonej i ubogiej; i zanurzają się w kręgu prawd zwykłych i prostych, tak prostych jak stwierdzenie, że ziemia rodzi chleb i że ziemi nie oszukasz, bo jej oszukanie jest oszukaniem samego siebie; i że ziemi nie uprosisz, aby ci okazała łaskę bez twojego potu; jak stwierdzenie, że tyle jesteś wart, ileś zrobił...

Tam mogłeś znaleźć wszystko, co potrzebne, aby unieść życie i nie upaść przed czasem i ujrzeć sens mocowania się z każdym dniem, sens istnienia, który w tzw. szerokim świecie, stając się przedmiotem nadmiernej gadatliwości, bywa wtłaczany w różnorodne, zawile formuły, tam objawiał się w zwyczajnej postaci obowiązku tworzenia rzeczy potrzebnych ludziom...

Ta od wieków wytyczona droga od ziemi do bochenka to jak otwarty elementarz, pod dachem nieba, dla wszystkich; mogłeś z niego czytać, nim dotknąłeś książki i mogłeś, jeśli chciałeś i byłeś wierny, nauczyć się uporu i siły, potrzebnej, żeby nie ulec rozpaczy, i nauczyć się cierpliwości, żeby zacząć od nowa, gdy żywioły przyrody lub wojny wszystko zniszczyły...

Ukazywało się też wyraziście to, co zasługuje na szacunek i miłość, to, czemu się masz pokłonić i co powinieneś przygarnąć do swoich uczuć; a więc te wszystkie trudy i znoje konieczne, aby pole stało się chlebodrone, twarze zroszone potem, ręce rozbite, sękate, marzenia nie spełnione, tęsknoty bezowocne, ale także te wszystkie zadowolenia i radości, które się pojawiają, gdy praca nie poszła na marne i ziemia się odwdzięczyła...

Tak więc nakłoniony do szczerego wyznania mojej wiary, wypowiadam słowo — korzenie, albo może lepiej; zakorzenienie; zakorzenienie wbrew nierozważnym podszeptom, że tamto nieważne, że wystarczy osadzić się mocno w dniu dzisiejszym, a następnie, zrzuciwszy niewygodny ciężar własnej kołyski, pędzić ku tzw. świetlanej przyszłości; bez zakorzenienia nie utrzymasz się długo na nogach i nie pójdziesz do przodu, a jeśli pójdziesz, będzie to krok na oślep.

Pamięć, która nieustannie przypomina mi, gdzie są moje korzenie sprawiła, że nabrałem odwagi i zacząłem pisać książki; temu ośmieleniu sprzyjało to, że nie musiałem rozglądać się po niebie i gwiazdach i szukać tam tematu, gdyż on został mi niejako dany przez tych, z których wyszedłem, i był we mnie i żył ze mną.

Napisałem książki takie, na jakie mnie było stać, ale mogłem je napisać dzięki zakorzenieniu; tak więc książka, będąc wynikiem mojego wysiłku, jest zarazem jakby darem ofiarowanym przez glebę, która odżywia korzenie...

Rozumiem zakorzenienie nie jako wygodną ucieczkę w przeszłość, ale jako działanie pamięci, która, zapuszczając się w odeszły czas, wydziera z niego to, co nie powinno odejść, gdyż jest potrzebne dziś i będzie potrzebne jutro; chodzi mi szczególnie o te wartości moralne, które wypracowała stara wieś; dotyczą one stosunku do pracy, człowieka do człowieka, do słowa — aby praca rzeczywiście oznaczała pracę, a człowiek był mierzony nie tym, co powiedział o sobie, a tym, co zrobił, a słowo było sprzęgnięte z czynem i nie służyło budowaniu pozorów.

Nie ma więc prawdziwej nowoczesności i rzeczywistego postępu bez ustawicznych powrotów w przeszłość...

Przyczyny lipca '80

Piotr Karpuś
Sławomir G. Kozłowski
Michał Zieliński
Andrzej Żuk

1981 nr 3

CHARAKTERYSTYCZNĄ cechę wielkich protestów społecznych w Polsce w ostatnim dwudziestopięcioleciu stanowiło to, że były one niejako dwustopniowe. Układ wydarzeń w 1956 i 1980 roku był podobny pod tym względem, iż protest ogólnospołeczny prowadzący do zmiany ekipy rządzącej i zasad życia społecznego poprzedzony został konfliktem lokalnym. Mechanizm wydarzeń niejako podobny do burzy, którą poprzedza i zapowiada uderzenie pioruna. (W pewnym sensie prawidłowość ta wystąpiła również podczas polskiego grudnia. W tym przypadku za zwiastun przyjąć można wydarzenia marcowe z 1968 roku). Ogólne przyczyny, które doprowadziły do strajków na Wybrzeżu i ich przeniesienia na resztę kraju, są dzisiaj — na ogół — nieźle znane. Brak jednak prób wyjaśnień specyficznych źródeł wcześniejszej o miesiąc akcji strajkowej w Lublinie i regionie lubelskim.

Zasadnicze czynniki, jakie doprowadziły do konfliktu, były bez wątpienia zbliżone do tych, które ujawniły się w sierpniu. Otwarte są jednak dwie kwestie. Dlaczego właśnie Lublin — Świdnik był miastem zapoczątkowującym szeroką akcję protestacyjną oraz jakie przemiany nastąpiły w świadomości mieszkańców, że postawa ich uległa tak znacznej zmianie w stosunku do przeszłości?

Trzeba bowiem przypomnieć, iż w poprzednich konfliktach władza — społeczeństwo zajmowali oni raczej bierne stanowisko. Co więcej — w dniu, w którym Gomułka przestał być pierwszym sekretarzem, załogi lubelskich zakładów podejmowały rezolucje i słały telegramy o treści: „klasa robotnicza Lubelszczyzny zawsze z Wami Towarzyszu Wiesławie". W 1976 roku nie było większych trudności ze skompletowaniem składu wycieczek na osławiony wiec w Radomiu, ani z zapełnieniem, dużego przecież, stadionu „Lublinianki" podczas podobnego mityngu w Lublinie. (Gwoli sprawiedliwości powiedzieć trzeba, że akt dziękczynny za zdecydowaną akcję władz wygłosił nie robotnik, lecz przedstawiciel nauki). Zdajemy sobie sprawę, że wymienione przykłady wiernopoddaństwa nie prezentowały rzeczywistego stanowiska ani klasy robotniczej, ani inteligencji lubelskiej. Niemniej szybkość, z jaką lublinianie przeszli od „zdalnego sterowania" swoimi poglądami i wypowiedziami do aktywnej postawy (1976—80), jest fenomenem socjologicznym wartym wyjaśnienia.

Podejmując próbę takiego wyjaśnienia, zdajemy sobie sprawę, że dalece nie wyczerpie ona splotu przyczyn i okoliczności prowadzących do „lubelskiego lipca". W większym stopniu stać nas na formułowanie pytań, niż na znajdowanie gotowych odpowiedzi. Chcemy jednak przerwać ciszę panującą wokół tego tematu i zachęcić do szerszej dyskusji. Jest ona niezbędna nie tylko w imię prawdy historycznej, lecz również dlatego, że niemożliwa wydaje się odnowa i demokratyczne rządzenie społeczeństwem bez badania nastrojów społecznych i poszukiwania dróg zabezpieczających przed zaognieniem się sytuacji konfliktowych, których żadne społeczeństwo nie jest w stanie uniknąć.

Wracając do opisanej postawy, jaką — rzekomo — manifestowało społeczeństwo Lubelszczyzny w przeszłości, warto odwołać się do psychologii społecznej i postawić następującą hipotezę. Akceleratorem aktywności robotniczej w 1980 roku mógł być kac moralny wynikający ze świadomości, że byliśmy wykorzystywani jako łamistrajkowie i „potępiacze". Ten absmak był tym silniejszy, że ta sama władza, która uprzednio wzywała do potępienia, w kilka dni później odwoływała poprzednie oceny, albo oceny te brutalnie weryfikowała przyszłość. Zweryfikowanie tej hipotezy nie wydaje się łatwe. Jeżeli jednak choć w części jest ona prawdziwa, to wypływa z niej ważna nauka dla osób sprawujących władzę. Nauka o kolosalnym niebezpieczeństwie wszelkiej manipulacji poglądami i postawami. Działanie takie przynosi jedynie pozorne, krótkotrwałe sukcesy. W dłuższym okresie obraca się ono przeciw manipulantom.

Przechodząc od hipotez do czynników łatwiej uchwytnych i wymiernych, na pierwszym miejscu wskazać trzeba sytuację materialną. Była ona — jeżeli weźmiemy obszar całego dawnego województwa — gorsza od przeciętnej krajowej. Posługując się syntetycznym wskaźnikiem wartości spożycia dóbr materialnych przypadającej na jednego mieszkańca, stwierdzić można, że była ona niższa w 1958 roku od średniej krajowej o 1198 zł i niższa od najwyższej średniej wojewódzkiej (katowickie) o 3003 zł. Dystans ten w 1965 roku wzrósł do 1546 i 3629 zł, w 1970 r. — do 2157 i 4617 zł i w 1976 r. — do 3744 i 8368 zł.

Jeżeli idzie o zmiany, które dokonały się w samym Lublinie, to w latach siedemdziesiątych nastąpił wzrost liczby mieszkańców o około 70 tys. osób. Podobnie jak w poprzednich latach głównym źródłem przyrostu był napływ ludności ze wsi. Jeżeli dodatkowo uwzględnimy czasowo zameldowanych — a wielu z nich mieszka w Lublinie po kilka i więcej lat — to udział ludności napływowej będzie jeszcze większy. Proces wrastania ludności napływowej w klasę robotniczą odbywa się stosunkowo wolno. Na ogół przez dłuższy okres zachowują oni silne związki ze wsią. Wynika to nie tylko z dużej siły więzi rodzinnych, lecz również z tego, że w znacznym stopniu korzystają oni z pomocy rodziny. To dodatkowe dofinansowywanie (czy częściej pomoc rzeczowa) może zmniejszać kłopoty związane z zaopatrywaniem w żywność. Może także prowadzić do pewnej sprzeczności interesów między „starymi" i napływowymi robotnikami. Skala tego zjawiska jest na pewno mniejsza w tych ośrodkach przemysłowych, do których napływa młodzież z bardziej odległych regionów (Wybrzeże).

Procesy proletaryzacji młodzieży wiejskiej — choć wolniej — dokonywały się także w Lublinie. W latach siedemdziesiątych pojawiły się czynniki, które procesy te wzmocniły. Starzenie się wsi; nieuchronne wymierania rodziców i bliskich krewnych powodowało często całkowite zerwanie dotychczasowych więzi. Ponadto wymuszanie wzrostu towarowości rolnictwa przy stagnacji produkcji powodowało ograniczanie samozaopatrzenia i czyniło boleśniejszymi braki rynkowe. Wymienione czynniki przyczyniły się do przyspieszenia integracji „młodych" i „starych". W efekcie, w latach siedemdziesiątych, mieliśmy do czynienia nie tylko ze wzrostem ilościowym klasy robotniczej, ale także z istotnymi przemianami jakościowymi.

Drugą zmianą jakościową był wzrost poziomu wykształcenia. Wiąże się to z wiekiem osób, które stanęły na czele ruchu robotniczego. Powszechnie ruch, z którego wyrosła „Solidarność", nazywany jest ruchem trzydziestolatków. Pokolenie to ma swoje specyficzne cechy. Po pierwsze — jest ono lepiej wykształcone od swoich poprzedników. Znacznie większa jest jego wiedza o świecie. Przy czym wiedza to wolna od przesądów. Nie mają oni zakodowanych w podświadomości informacji o tym, że Truman zrzuca na Polskę stonkę ziemniaczaną a Coca-Cola jest ogłupiającą klasę robotniczą trucizną. Czynnik ten (wykształcenie) mógł działać w Lublinie silniej niż gdzie indziej. Lublin w latach siedemdziesiątych stał się — razem z Łodzią — szóstym po Warszawie, Krakowie, Katowicach, Wrocławiu i Poznaniu ośrodkiem studenckim, a całe województwo plasowało się w tym okresie na 7—8 miejscu pod względem liczby uczniów szkół ponadpodstawowych przypadających na tysiąc mieszkańców. Pamiętać tutaj trzeba także o pewnym mnożnikowym efekcie wiedzy, która przekazywana jest dalej przez osoby wykształcone. Podobnie zapewne oddziaływuje bliskość Warszawy i dogodne z nią połączenie komunikacyjne.

Warto przypomnieć także o tym, że obecne trzydziestolatki były studentami w 1968 roku. Dla niżej podpisanych, którzy wtedy również studiowali lub byli już po studiach, widok uzbrojonych milicjantów blokujących miasteczko akademickie, nagonki na ludzi często cieszących się dużym szacunkiem opinii społecznej, dość mocno podważyły wiarę w socjalizm oparty o dyktat i siłę. Możemy przypuszczać, że podobnie przeżywali marzec ci, którzy w lipcu 1980 roku przystąpili do masowej akcji strajkowej lub swoją postawą akcję tę poparli.

Wróćmy jeszcze do kwestii materialnych. Posługiwanie się średnimi statystycznymi nie ukazuje całej prawdy. W minionej dekadzie, przy stosunkowo szybkim wzroście dochodów nominalnych, mieliśmy do czynienia ze wzrostem dysproporcji w podziale rzeczowym. Postępująca nierównowaga rynkowa wraz z utworzeniem grup uprzywilejowanych, które dzięki bonom, talonom, przydziałom, znajomościom et cetera nie odczuwały pogorszenia zaopatrzenia, prowadziły do upośledzenia grup o mniejszej sile przebicia. W pewnym stopniu było to nasilone przez budowę LZW, która przyczyniła się do zmniejszenia ogólnodostępnej puli mieszkań i zwolniła rozwój infrastruktury socjalnej.

Nierównomierności podziału nasiłały poczucie krzywdy. Przeświadczenie o rosnącym dystansie w stosunku do ludzi bogatych korelowało z — przesadzonym być może — obrazem warunków życia w Gdańsku, Szczecinie i Radomiu. Dosyć często można było rok czy dwa lata temu w Lublinie spotkać następującą opinię: „Postawili się, to teraz mają lepiej". Do poczucia krzywdy coraz silniej zatem musiała dołączyć determinacja, która mogła być silniejsza niż strach.

Chociaż koncentrujemy się na zjawiskach związanych z postawami robotniczymi, wspomnieć należy także o stanowisku władz. W lipcu, w odróżnieniu od poprzednich konfliktów, po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z reakcją spokojną, wyważoną czy czasem nawet sympatyzującą. Stawia to nowe pytanie — o zmiany, jakie zaszły w poglądach i metodach osób sprawujących władzę.

Problem ten przekracza ramy naszych rozważań. Nie czujemy się zresztą na siłach go podejmować. Ogólnie wskazać jedynie możemy na to, że na wszystkie szczeble władzy tonizująco działało zapewne wspomnienie grudnia. Wydaje się także, że kadra kierownicza szczebla wojewódzkiego znalazła się w końcu dekady w dość niewdzięcznej sytuacji. Postępująca centralizacja decyzji pozostawiła im coraz mniejsze pole do działania. W tym samym kierunku działa nowy podział administracyjny. Równocześnie ludzie ci, znacznie lepiej niż „góra" znający realia życia i nastroje społeczne, boleśnie musieli odczuwać nonsensowność niektórych decyzji centralnych. Przykłady krytycznych poglądów wypowiadanych przez terenowy aparat partyjny dostarczyła dyskusja na VIII Zjeździe.

Kto komu ma dziękować?

1968 nr 26

Alojzy Sroga

(...) NIE brak ich na Lubelszczyźnie i — co prawda niewielu — w Kieleckiem. Od miesięcy odwiedzam tych byłych żołnierzy, często zapomnianych, żyjących w różnych warunkach. Jedni są pułkownikami — jak obecny szef Sztabu Wojewódzkiego w Lublinie płk Jan Piróg; pod Lenino otrzymał nominację na plutonowego w 3 pułku piechoty. Inni są inżynierami, jak Tadeusz Korsak w Świdniku. Trafi się urzędnik i kierowca jak Mieczysław Maksym z Kielc. Emeryt — aż wierzyć się nie chce patrząc na jego posturę — Antoni Kaczan z Białegostoku, czy Jan Kisielew z Chełma. Ale przede wszystkim rolnicy, rolnicy. Polscy chłopi, którzy na kartach ojczystej historii zawsze zapisywali się tym, że „żywią i bronią", że swą miłość do ojczyzny potrafią oblekać w racjonalną szatę. Więc Jan Kocaj w Żmudzi pod Chełmem — dziś tam mieszkający i gospodarujący, więc inna wspaniała postać 65-letniego rolnika, kiedyś chwackiego kawalerzysty i zwiadowcy konnego Jana Pendraka w Ubrodowicach w powiecie hrubieszowskim, albo Jan Dul z Zabrni Górnych, już na rzeszowskiej, tarnobrzeskiej ziemi, albo taki ciągle czerstwy na twarzy, ciągle przechowujący portfel, sporządzony z tamtej, już dziś historycznej ładownicy spod Lenino, Władysław Bukrejewski ze wsi Mazurki koło Augustowa. Wreszcie — jeden z trzech braci Lenczewskich ze wsi Lence pod Białymstokiem. Jeden z nich, Stefan, zginął pod Lenino. Drugi, Jan, pracuje w Siedlcach. Ten trzeci, „mój" Stanisław, dostał się pod Lenino do niewoli, poznał całą gorycz braku żołnierskiego pasa i karabina...

Jeszcze ich jest we wschodnich województwach Polski kilkudziesięciu. Może stu. Może w całym kraju zbierze się półtora tysiąca — dwa, tych, którzy biegli wtedy przez bagniste nabrzeże Mierei ku wrogowi, którzy zataczali się od kul nad rzeką, którzy szturmowali dwa wzgórza 215 i 217, trwali — dniem i nocą — w niemieckich, lub w pośpiechu kopanych własnych okopach, zdobywali rany głodowali, a potem jeszcze przez półtora roku szli, szli. I walczyli. I polski sztandar zatykali w Berlinie.

Wszakże codzienne troski i niemałe kłopoty, ludzkie zapomnienie o nich — to jedna strona szalki. Na drugiej spoczywa właśnie ta osobista cena, cena szturmu pod Lenino.

Błyszczą im oczy, rumieńce wchodzą na policzki, gdy zaczynam pytać „jak to było". A potem odprowadzają mnie do bitej drogi, gdzie pozostał samochód, do stacji kolejowej, trwają ze mną kilka godzin w poczekalni, potrząsają dłonią i oni mnie — co za paradoks — dziękują.

— Że ktoś o nas sobie przypomniał...

Kłaniam się wtedy w pas, po staropolsku, po chłopsku. Kto tu komu ma dziękować?

• • •

Pochodzi ze Stefankowic w hrubieszowskim, w swoim powiatowym mieście służył w 2 pułku strzelców konnych wtedy, gdy rodziła się znaczna część pokolenia, będącego dziś w pełni sił.

W 1940 roku — jak wielu — znalazł się w ZSRR. Rąbał las, puchły mu nogi, mimo to był stachanowcem w krainie białych nocy. Potem był Saratow, kołchoz i wreszcie — 1 dywizja. W niej — kawalerzysta — trafił do kompanii zwiadu, której przewodził przedwojenny marynarz, postać niesłychanie barwna, starszy sierżant, potem chorąży, porucznik, kapitan — Konstanty Minuczyc. Minuczyc, złoty człowiek — najgłośniej w dywizji wydawał komendy, uczył ich, że: „co to za zwiadowca, który pozwoli dać sobie w mordę. Niech nie wraca do kompanii. Zwiadowca musi być zawsze górą". Przydały się potem nauki Minuczyca.

Pod Lenino Jan Pendrak woził rozkazy do bohaterskiego 2 pułku piechoty, który — jako jedyny w dywizji — walczył przez cały bój bez zmiany. Nocą zwiadowca natknął się na radzieckie działa. Pobłądził. Raz i drugi. Zdał się na konia. Bezbłędnie dowiózł go z meldunkiem do sztabu dywizji. Jeździec odpoczywał w schronie. A koń — spuścił łeb i cicho, żałośnie rżał. Pendrak próbował go uspokoić.

— Czuje swoją śmierć — skwitował bardziej doświadczony kolega.

Dniem pojechał Pendrak z nowym rozkazem. Z góry sypał się deszcz bomb. Zginął kolega. Przy kolejnym wizgu Pendrak wskoczył do leja. Koń runął na niego, jeszcze go sobą nakrył, ochronił w przedśmiertnym dreszczu.

...Zaniósł więc puste siodło do kompanii.

Potem miał innego konia, maleńkiego „mongoła". Usiłował go kiedyś przehandlować na lepszego, większego. Piękny koń ochwacił się w mig, a sprzedany „Waśka" biegł truchtem, wyprzedził wszystkich. Już więcej Pendrak końmi nie handlował. Za to na Pomorzu Zachodnim nieoczekiwanie przypomniał sobie nauki Minuczyca, gdy w sześciu brali do niewoli ponad 200 Niemców i nawet Niemka śmiała się ze swoich współbraci, wskazując na nielicznych polskich żołnierzy. Doprowadzili kolumnę jeńców.

Pendrak zaś w Berlinie, już w randze sierżanta, był zastępcą dowódcy plutonu.

Po wojnie przyjechał w rodzinne, hrubieszowskie strony. Była tu szczera, wypalona ziemia. Zahartowany mrozem i marszami, od nowa stawiał dom, uprawiał ziemię, liczył tylko na swoje żołnierskie ręce. Miał jedynie swój mundur. [...]

Poszło ich na wojnę trzech jednego dnia: Jan, Stanisław i Stefan, wszyscy z Ałtajskiego Kraju, w którym znaleźli się tuż przed napaścią hitlerowców na ZSRR.

Najstarszy był w artylerii, najmłodszy w łączności, średni w 8 kompanii strzeleckiej 2 pułku piechoty

Najmłodszy poległ od odłamka bomby pod Lenino. Najstarszy przetrwał. Średni...

Średni, Stanisław, jak i bracia niewielki wzrostem, przebiegł przez rzekę, skulił się przed hitlerowskimi pociskami, ale przecież nie ukląkł. Brał udział w szturmie na okopy, jak inni krzyczał „hurra" i strzelał. Jak inni pobiegł do przodu. Szczęknął zamek. Koniec amunicji. Obejrzał się do tyłu. Było ich dwóch czy trzech żołnierzy. Przed nimi i z boku — Niemcy. Jeszcze próbował odczołgać się do tyłu. Daremnie. Zjeżyły się przeciw niemu i dwóm, trzem kolegom hitlerowskie peemy.

Rozpoczął się gorzki, żmudny, jeniecki szlak. Kopanie okopów i głodówka, poniżenie, gdy jeden z polskich oficerów — niestety, przedwojenny porucznik, którego Niemcy obwozili potem z triumfem po terenach „GG" — zdradził polską sprawę.

Była na drodze Lenczewskiego tułaczka i każde upodlające zajęcie. Praca w fabrykach i bombardowanie. Malaria i rozbiórka walących się domów. Wreszcie — wolność. Wrócił natychmiast, w 1945, do swoich macierzystych Lenców. Wrócił i pracuje, jak to w rolniczym fachu — ciężko, codziennie, nie oglądając się na niczyją pamięć. Gdy byłem u niego w letniej porze — około południa przyszedł na śniadanie. I to ściągnięty przez dzieci.

— Taaatooo! Jakiś pan do ciebie...

I nawet żona, którą poślubił po wojnie, nie wiedziała o jego żołnierskiej przeszłości. Gdyśmy wszakże zaczęli mówić o Lenino — i jemu błysnęły oczy.

— Pogoniliśmy wtedy, panie, kota hitlerowcom, pogoniliśmy...,

• • •

Z tarnopolskiego — w trybie mobilizacji — trafił w czterdziestym pierwszym do Armii Radzieckiej, aż gdzieś pod turecką granicę. I gdy w Sielcach zobaczył, po raz pierwszy od 39 roku, polskiego oficera — płakał. Zwyczajnie, po dziecięcemu, choć lat liczył już wtedy 24

Jeszcze i dziś, gdy o tym opowiada, nie potrafi być beznamiętnym relantem, jeszcze ciągle osobiście przeżywa ów piękny, życiowy moment. Potem trafił do baterii moździerzy 120 mm w 3 pułku piechoty.

Jak Jurgo zabił „Krowę" Tanzhausa

1971 nr 24

Mirosław Derecki

21 LIPCA 1944 r. w lubelskim więzieniu na Zamku więzień Władysław Jurgo dokonał udanego zamachu na życie strażnika niemieckiego, oberscharführera Tanzhausa. Tanzhaus został zabity nożem chirurgicznym w chwili, gdy kompletował grupę więźniów skazanych na śmierć, do których należał również Jurgo. W ćwierć wieku później, 14 października 1971 r., Rada Państwa przyznała Jurdze pośmiertnie Srebrny Krzyż Orderu „Virtuti Militari". Został on wręczony ojcu odznaczonego, Władysławowi Jurdze, w dniu III zjazdu klubu byłych więźniów Zamku Lubelskiego.

Władysław Jurgo wszedł do historii lubelskiej martyrologii, ale wciąż jeszcze jego osoba, jak również szczegóły czynu, jakiego dokonał, są mało znane. Ogólnie wiadomo, że trafił na Zamek oskarżony o działalność w szeregach AK i że został skazany na śmierć. Dopiero po latach odszukano rodzinę Jurgi, świadków śmierci Tanzhausa oraz ludzi, którzy utrzymywali kontakt z Jurgą na długo przed jego aresztowaniem, w czasie gdy prowadził działalność konspiracyjną w Lublinie. Z tych relacji można odtworzyć sylwetkę Sławka jak i tok wypadków, które wydarzyły się na Zamku w piątek, 21 lipca 1944 r.

Władysław Marian Jurgo urodził się 9 listopada 1920 r. w Łasku pod Kaliszem, ale dzieciństwo i lata szkolne spędził w Tczewie, gdzie jego ojciec miał niewielką wytwórnię wód gazowych. Tczew leżał o miedzę z Prusami Wschodnimi, nic więc dziwnego, że tutejsza młodzież była wychowywana w atmosferze patriotyzmu, wyczulona na sprawy ekspansji niemieckiej na polskie ziemie: z przykładami owej ekspansji spotykała się niemal codziennie. Sławek, bo tak go nazywano w rodzinie, był najstarszy z rodzeństwa. W gimnazjum dał się poznać m.in. jako działacz harcerski. Był dobrze zapowiadającym się lekkoatletą, uprawiał biegi na 800 i 400 m, a jego sportowe sukcesy były coraz częściej odnotowywane przez prasę. Po zdaniu matury wybierał się na studia do Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego w Warszawie. Równoległą ze sportem pasją Jurgi była muzyka. [...].

W dniu wybuchu wojny Władysław Jurgo zgłasza się ochotniczo do wojska. [...] Wiadomo, że [...] przez krótki okres przebywał w obozie dla jeńców wojennych w Bydgoszczy i że uciekł z transportu kolejowego, wyłamawszy wraz z kolegami deski z podłogi wagonu.

Na przełomie 1939 i 1940 r. Jurgo opuszcza rodzinę i przez „zieloną granicę" przechodzi na teren Generalnej Guberni. Wraz z kilkoma kolegami wśród których znajduje się również Edward Cyłkowski z Tczewa, trafia do Lublina. Osiedla się tu najprawdopodobniej dlatego, że tutaj Jurgowie posiadają krewnych. Na Sławinku mieszka kuzynka p. Mirska, w podlubelskich Osmolicach żyje rodzina Truchlińskich. Początkowo Jurgo mieszkał u nich, potem u przygodnych znajomych, przez pewien czas miał swój własny kąt gdzieś na Starym Mieście, wreszcie zdobył wygodny pokój u Danuty Łuszczewskiej, w jej domku przy ul. Wspólnej 16. Pracował w magazynach zaopatrzenia armii Wschód, mieszczących się na końcu ulicy Nowy Świat, później otrzymał pracę na kolei — w ekspedycji pociągów towarowych.

Władysława Jurgę poznał inżynier Lucjan Foryś, wówczas pracujący jako kelner w bufecie, w poczekalni I klasy — na lubelskim dworcu, w czerwcu 1942 r. Bufet był przeznaczony tylko dla Niemców, ale na zapleczu była wydzielona niewielka klitka, do której zachodzili na piwo polscy pracownicy dworca. Któregoś dnia zajrzało tam również dwóch młodych ludzi w kolejarskich mundurach. Jeden z nich to wysoki, potężnie zbudowany blondyn, drugi — nieco niższy, drobnej budowy, o miłej aparycji, sprawiający na pierwszy rzut oka wrażenie człowieka nerwowego albo takiego, którego rozsadza energia. Przedstawili się: „Eda i Sławek". Między młodym, przypadkowym kelnerem, a dwoma również przypadkowymi kolejarzami, szybko nawiązała się nić koleżeństwa. [...].

Foryś, Cyłkowski Jurgo spotykali się najczęściej w niewielkim, murowanym budyneczku, stojącym po dziś dzień przy końcu drugiego peronu i stąd wyruszali na muzyczno - turystyczne eskapady, „na łono przyrody". [...]

Podczas tych wyjazdów i spotkań niewiele się mówiło o konspiracji, natomiast dużo się śpiewało i grało, a i niejedną butelka wódki przy tym została wypita. I chociaż Foryś sam był członkiem Armii Krajowej, niewiele wiedział o konspiracyjnej pracy swoich kolegów, którzy przecież należeli do tej samej organizacji. Zresztą do tej pory nie wiadomo prawie nic o działalności Cyłkowskiego i Jurgi z wyjątkiem tego, że obaj zajmowali się obserwowaniem ruchu pociągów niemieckich idących w głąb Związku Radzieckiego [...].

Kontakt z Edą i Sławkiem urwał się na zawsze w dniu 28 lipca 1943 r., kiedy Forysia wraz z żoną aresztowali w Krężnicy hitlerowcy i osadzili w więzieniu na Zamku. Wówczas to Lucjan Foryś poznał przyszłą ofiarę Sławka, oberscharführera SS Tanzhausa.

Tanzhaus był postacią doskonale znaną wszystkim więźniom, osobą w pewnym sensie „popularną". Rudy potężnej budowy strażnik więzienny z ogromnym brzuchem i byczym karkiem, który nie pozwalał mu na utrzymywanie głowy w normalnej pozycji, ale sprawiał, że oberscharführer wspierał podbródek na swej rozłożystej piersi, zyskał sobie przezwisko „Krowy". Być może do powstania tego przezwiska przyczynił się jeszcze bezmyślny, „cielęcy" wyraz wielkich, wybałuszonych oczu strażnika. Również chód miał Tanzhaus charakterystyczny, „krowi". Chodził wolno, ciężko przewalając się z nogi na nogę. Natomiast w usposobieniu nie miał Tanzhaus nic z cielęcia czy krowy. Był to człowiek okrutny, sadysta, który z lubością obserwował reakcje więźniów na wiadomość o wydaniu na nich wyroku śmierci. Ów pijak i morfinista, uznawany za szarą eminencję Zamku, lekceważący nawet polecenia komendanta więzienia Domnicka, najczęściej wyczytywał osobiście wyroki śmierci. Utarło się nawet wśród więźniów przekonanie, że jeżeli w pobliżu którejś celi pojawia się strażnik Stolarczyk, to wkrótce ktoś zostanie wypuszczony na wolność, jeżeli Tanzhaus — niechybnie któryś z więźniów rozstanie się z życiem. [...]

Lucjan Foryś niejako rozminął się ze Sławkiem na Zamku. 29 września został wywieziony do Oświęcimia. Jurgę aresztowano 31 października 1943 r. Najprawdopodobniej wsypał go jakiś kolejarz lub banschutz. Tak przynajmniej twierdził w rozmowie z towarzyszami niedoli w więzieniu.

Historia aresztowania Jurgi nosi zresztą w sobie element niezwykłości. Wezwany pewnego dnia do dyrekcji kolejowej w jakiejś niby to służbowej sprawie, zniszczył przedtem wszystkie mogące skompromitować go dokumenty. Kiedy już na miejscu zorientował się, że oczekują go nie zwierzchnicy, ale oficerowie gestapo, wyskoczył przez okno z pierwszego piętra budynku stacyjnego i ukrył się między wagonami towarowymi. Zorganizowana obława z udziałem psów policyjnych doprowadziła do ujęcia Jurgi. Katowany w gmachu gestapo „Pod Zegarem" — nie pisnął ani słowa. Został następnie przewieziony na Zamek, a ponieważ nie udowodniono mu niczego, spodziewał się rychłego zwolnienia.

Na Zamku Sławek pełnił funkcję korytarzowego w więziennym szpitalu, w którym m.in. pracował polski lekarz, dr Bońkowski [...]

Z uwagi na charakter swojej pracy miał Jurgo niemal stały dostęp do pomieszczenia, w którym znajdowało się szpitalne ambulatorium. Najprawdopodobniej przypadkowo odkrył w nim ukryty pod sterylizatorem nóż chirurgiczny [...]

W piątek, 21 lipca 1944 r., oberscharführer SS Tanzhaus pojawił się w [illegible] szpitala. Szedł jak zwykle bez obstawy, w ręku trzymał długą listę osób skazanych na śmierć, które kolejno wywoływał z cel. W szeregu wywołanych więźniów stanął również Władysław Jurgo. Ubrany był [illegible] jak większość więźniów — w swoje cy-

— Dopiero po wojnie przestały mnie ręce boleć od wrzucania min do moździerza...

Mina zaś, która dziś urzędowo-wojskowo zwie się „granat", ważyła drobiazg... 16 kilogramów. Jan Kocaj miał — i ma do dziś — 1,75 m wysokości. Wtedy uczyniono go ładowniczym, by wpuszczał minę „delikatnie jak święcone jajko", by za wcześnie nie odpaliła, nie rozerwała lufy, nie wybiła działonu, jak to przedtem zdarzyło się w 1 pułku piechoty.

...Przyszli pod Lenino jeszcze dniem. Nocą ryli stanowiska: głębokość 1,80 metra, średnica 3 metry. Dla każdego moździerza. Potem, rankiem 12 października 1943, wraz z kilkoma grupami artylerii rozpoczęli półtoragodzinne trzęsienie ziemi, by nie pozostał nikt żywy w hitlerowskich okopach, by zmieszać i wymacerować ich stanowiska ogniowe. [...]

I on, jak Pendrak, jak wielu innych, doszedł do Berlina. Polski chłop, który geografii uczył się przede wszystkim własnymi nogami.

Po wojnie osiedlił się w Żmudzi pod Chełmem. Gospodaruje na niespełna 3 tęższych hektarach. Dorabia w GS-ie. Skromniutkie, to życie. Chciałby dokupić ze trzy hektary z Funduszu Ziemi, zwłaszcza, że w ich okolicy ziemi jest raczej w nadmiarze. Wyuczył, wyszkolił dzieci. Najstarszy syn już odbywa służbę wojskową. Postawił z żołnierską i gospodarską zapobiegliwością dom i oborę, myśli o stodole.

Żeby jeszcze był większy kawałek ziemi...

Ciągle nie boi się potu, który nie tylko pod Lenino spływał po plecach. I dzisiaj także. [...].

• • •

...I tak by można po kolei wyliczać ludzkie doświadczenia, perypetie, karty chwały i bólu, radości i załamań. Mówić, że dawni bohaterowie dziś są schorowani i zmęczeni. I będzie to absolutna prawda. Podobnie jak w melancholijnym stwierdzeniu, że najbliższe i dalsze ich otoczenie zapomniało, lub udaje, że zapomniało, o ich żołnierskiej drodze, sławie. O ranach, ale także o pokojowej, żmudnej pracy.

Nie należą do kategorii ludzi, którzy umiejętnie sprzedają swoje zasługi i rany. Nie umieją dopominać się o renty i oświetlenie ich zagród. Najczęściej chcieliby choćby jednego — społecznego szacunku i naszej, społecznej pamięci.

To dużo. Ale chyba także — nie za wiele.

---

wilne ubranie: bryczesy, buty z cholewami, na głowie miał włóczkową czapeczkę. „Krowa" spacerował z uśmiechem na ustach przed szykującą się na śmierć kolumną. Co kilka kroków zatrzymywał się przed którymś z więźniów i jak gdyby nigdy nic zagadywał do niego.

I oto zbliża się do Sławka, staje przed nim, szykuje się do powiedzenia kolejnego „dowcipu". W tej chwili Jurgo schyla się, wydobywa zza cholewy nóż i rzuca się na strażnika. Ciężki, krowowaty Tanzhaus zdobywa się w obliczu śmierci na błyskawiczny refleks. Okręca się na pięcie, rzuca w kierunku drzwi. Jurgo dogania go w drzwiach i wbija ostrze lancetu w kark SS-mana. Ponawia pchnięcie. Mierzy w szyję, w głowę, bo wśród więźniów panuje przekonanie, że wszyscy strażnicy noszą pod mundurami stalowe koszulki. Tanzhaus z rykiem — niektórzy świadkowie twierdzą, że z przeraźliwym piskiem — odwraca się, zasłania rękami. Na próżno. Dosięga go kolejny cios Jurgi. Tym razem w bok szyi. Tanzhaus, krwawiąc, znów się odwraca, wypada za próg, tam wali się na ziemię, po chwili jest już martwy.

Jurgo wie, że zaraz wpadną zaalarmowani krzykiem strażnicy. Jeżeli sam nie zginie, wszyscy więźniowie zostaną natychmiast wystrzelani. Wbiega w otwarte drzwi ambulatorium. Na ścianie naprzeciwko wisi wielkie lustro. Sławek doskakuje do lustra, przykłada nóż do piersi, do miejsca, gdzie powinno znajdować się serce, jednym zdecydowanym pchnięciem wbija nóż po rękojeść. Krew tryska na lustro. Koniec.

W kilkanaście minut później na Zamku jest już gestapo spod „Zegara". W pierwszym porywie wściekłości Niemcy chcą natychmiast rozstrzelać wszystkich więźniów. Komendant więzienia, Domnick sprzeciwia się. [...] Jak się później okazało, „wspaniałomyślność" Domnicka była podyktowana brakiem na Zamku samochodów do wywożenia trupów.

Zaplanowany przez hitlerowców od dawna mord na więźniach Zamku został dokonany następnego dnia. [...]

PO UTRACIE niepodległości w 1939 roku wśród Polaków mało było już ludzi, którzy pragnęliby odrodzenia ojczyzny w dosłownym powtórzeniu jej przedwojennego kształtu ustrojowego. Nie oznaczało to jednak z kolei, że ukształtowała się jednolita postawa. Krzyżowały się lub współbrzmiały różne koncepcje ustrojowe. Wyraźnie odrębny program prezentowali polscy komuniści: członkowie byłej Komunistycznej Partii Polski i Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, a także lewicy Polskiej Partii Socjalistycznej, radykalni ludowcy i związkowcy.

Zanim ci ludzie w styczniu 1942 roku utworzyli Polską Partię Robotniczą, my w niej: *Wyzwolona spod jarzma hitlerowskiego — Polska nie będzie i nie może być Polską sprzed września 1939 r. Nie będzie dlatego, że takiej Polski nie życzy sobie naród. Przyszła Niepodległa Polska nie może być prywatnym folwarkiem pasożytniczej, wstecznej i reakcyjnej warstwy. Przyszła Wolna i Niepodległa Polska musi być narodową własnością najszerszych mas pracujących.* To właśnie starych KPP-owców i Dąbrowszczaków, którzy wędrowali od wsi do wsi, zbierali ludzi w miastach i głosili idee partii, Stanisław Szot określił w swoim wspomnieniu: *Byli to ludzie którzy nie obawiali się narażenia własnego życia, zdecydowani na wszystko.*

RODOWÓD

1977 nr 7

Tadeusz Jasiński

na długo przed tą datą, najczęściej bez szerszego porozumienia, po prostu kierowani swoją ideą, zakładali pod różnymi nazwami ugrupowania mające podobne cele: przeciwstawienie się faszystowskiemu okupantowi, podnoszenie ducha narodu i stworzenie takich warunków, aby po zwycięstwie było możliwe utworzenie ludowej władzy. Były to: Związek Walki Wyzwoleńczej, Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa, Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR, Rewolucyjne Rady Robotniczo-Chłopskie, np. „Młot i Sierp", Proletariusz, Polska Ludowa, Front Walki „Za Naszą i Waszą Wolność", Czyn Chłopsko-Robotniczy, Bojowa Organizacja Ludowa, a także niemało lewicowych i lewicujących skupisk, które nie przyjęły nazwy, ale odczuwały potrzebę działania. I to był właśnie wyraz wyzwalającej się świadomości ludowego patriotyzmu.

No bo co innego nakazywało Aleksandrowi Szymańskiemu (pseudonim „Ali"), Michałowi Wójtowiczowi (ps. „Zygmunt"), Stanisławowi Szotowi (ps. „Kot"), Janowi Pytlowi (ps. „Leon"), Janowi Wziętkowi (ps. „Murzyn") i sporej grupie ich towarzyszy założyć już w lipcu 1941 roku konspiracyjną Robotniczo-Chłopską Organizację Bojową w Kraśniku, a także w gminach: Annopol, Brzozówka, Konin, Trzydnik, Urzędów i Zakrzówek? Komuniści zorganizowali te grupy w oparciu o doświadczenia nielegalnej pracy w KPP. Nic więc dziwnego, że przed trzydziestu pięciu laty, niedługo po utworzeniu w stolicy 5 stycznia 1942 roku Polskiej Partii Robotniczej, właśnie te ogniwa przekształciły się w komórki PPR i w Kraśniku mogła się odbyć jedna z najpierwszych w kraju, a pierwsza na Lubelszczyźnie, Powiatowa Konferencja tej młodej partii. A co nakazywało w tym samym 1941 roku organizować podobne grupy działania o różnych nazwach na Zamojszczyźnie, Chełmszczyźnie i Podlasiu?

Kiedy Komitet Centralny przysłał do Lublina swego przedstawiciela, Włodzimierza Dąbrowskiego (ps. „Wujek"), istniały już podstawy kadrowe i członkowskie. Po krótkim czasie powstał II Obwód PPR, a właśnie „Zygmunt" i „Ali" weszli w skład Komitetu Obwodowego, by potem być jego sekretarzami, każdy do śmierci. A ilu znakomitych działaczy partyjnych, gwardyjskich i rad narodowych ujawniło w tym czasie swoje zdolności przywódcze, które pozwalają im spełniać wiodącą rolę w okresie już powojennym i dzisiaj?

Wizja zmian w naszej ojczyźnie, świadomość ich konieczności nakazywały im więc odrodzenie partii dającej możliwość przynależności dość szeroko pojętej lewicy patriotycznej. Busolą ideową i polityczną, motorem działania były uchwały Komitetu Centralnego PPR, a szczególnie deklaracje marcowa i listopadowa z 1943 roku pod nazwą: „O co walczymy?". Czytamy w niej: *Wyzwolona spod jarzma hitlerowskiego — Polska nie będzie i nie może być Polską sprzed września 1939 r. Nie będzie dlatego, że takiej Polski nie życzy sobie naród. Przyszła Niepodległa Polska nie może być prywatnym folwarkiem pasożytniczej, wstecznej i reakcyjnej warstwy. Przyszła Wolna i Niepodległa Polska musi być narodową własnością najszerszych mas pracujących.* To właśnie starych KPP-owców i Dąbrowszczaków, którzy wędrowali od wsi do wsi, zbierali ludzi w miastach i głosili idee partii, Stanisław Szot określił w swoim wspomnieniu: *Byli to ludzie którzy nie obawiali się narażenia własnego życia, zdecydowani na wszystko.*

Nie bez podstaw mówi się o Lubelszczyźnie, że była kolebką ruchu partyzanckiego, także lewicowego. Istniejące grupy konspiracyjne PPR najczęściej stanowiły trzon oddziałów bojowych i one stały się zbrojnym ramieniem partii: Gwardią Ludową, a po dwóch latach Armią Ludową. Istniejąca równocześnie Armia Krajowa oraz inne organizacje wojskowe podległe rządowi londyńskiemu dysponowały kadrą oficerską i podoficerską oraz zasobami materialnymi, a więc przede wszystkim bronią. Była to liczna i dobrze zorganizowana machina wojskowa.

Natomiast zarówno PPR, jak i GL nie miały początkowo zbyt wielu dowódców z dawnej kadry. Pracowały ponadto w trudniejszych warunkach także z innego powodu. Brzmiały jeszcze echa antykomunistycznej, niewybrednej propagandy z całego okresu międzywojennego. Naród wartościował po Wrześniu wszystko to, co mu przed tym wpajano, a to pozwalało poszerzać stopniowo zakres działania: wokół każdej piątki czy dziesiątki członków PPR gromadziło się pięćdziesięciu, stu i więcej gwardzistów, a później AL-owców. To sprawiło, że statystycy odległych wydarzeń przyjmują liczbę dwudziestu tysięcy AL-owców na całej Lubelszczyźnie w momencie nadejścia frontu zza Buga. Wertowałem wspomnienia i pamiątki tych żołnierzy partii, którzy przeżyli i byli, bądź są wśród nas. Zapoznałem się z dokumentami: rozkazami, listami i odezwami z okresu walki, a w których ani czas, ani ułomna pamięć nie mogły poczynić żadnych poprawek. Co z nich wynika?

Nade wszystko odczuwa się nieustanne wołanie o jedność walki z okupantem. Przeczytać to można także w zachowanych egzemplarzach miejscowej prasy lewicowej z tamtego czasu, takiej jak: „Żołnierz Lubelszczyzny", „Ostatnie Wiadomości", „Jeszcze Polska nie zginęła", „Trybuna Ziemi Lubelskiej", „Nasłuchy radiowe", „Razem na Niemca" i inne. Tytuł ostatniego czasopisma stał się hasłem Komitetu Powiatowego w Puławach. To w jego odezwie czytamy:

Bracia, razem na niemca! Zjednoczenie da nam siłę równą, którą nie rozporządzają obecnie niemcy w lubelskim województwie. Żołnierze AL, AK, BCh, podajmy sobie ręce do zgody, zawierajmy porozumienia współpracy wojskowej, jak uczyniły to już liczne grupy BCh i AL na terenie pow. Puławskiego, Włodawskiego, Lubartowskiego, Lubelskiego. Jakież to różnice zapatrywań mogą stanąć na przeszkodzie ku zjednoczeniu wszystkich Polaków, do walki przeciwko niemcom o Wolną, Demokratyczną Ojczyznę? Któż jeszcze dziś śmie wątpić w to, że Wyzwolenie Polski może odbyć się bez zjednoczonego wysiłku zbrojnego Narodu Polskiego? Naród Polski jęczący pod jarzmem niewoli niemieckiej, bracia nasi, giną cy w kazamatach Oświęcimia i Majdanku pytają nas: „KIEDY TO ZJEDNOCZENIE NASTĄPI!?" Od tego tylko zależy wyzwolenie naszej Ojczyzny, bracia, razem na niemca!

Pod odezwą znajduje się rysunek przedstawicieli AL, BCh i AK z zawołaniem: NAM POTRZEBNA WASZA GRABA, BY WYPĘDZIĆ PRĘDZEJ SZWABA! A ile cierpliwości można znaleźć w odręcznych listach i rozkazach sekretarza Komitetu Okręgowego PPR na południu Lubelszczyzny, a potem w Lublinie — Wacławy Marek (ps „Pola"), rozważnie dążącej do jednoczenia, a nie przeciwstawiania sobie sił? Ile takich samych dążeń było w działaniu dowódcy Okręgu Gwardii Ludowej, Pawła Dąbka (ps. „Paweł"), a także u sekretarzy i dowódców całego obwodu?

Ponadto upewniamy się, że zarówno w Gwardii Ludowej, jak i następnie w Armii Ludowej funkcjonował niespotykany w pozostałych ugrupowaniach — poza Batalionami Chłopskimi, które zresztą w swej masie sympatyzowały na wschodnim obszarze z ideami PPR, a wiele z nich weszło w skład AL — demokratyzm. Przed dziewiętnastu laty na zorganizowanej przez KW PZPR w Lublinie sesji popularnonaukowej jeden z byłych dowódców GL i AL stwierdził: *Dowódcą kilkuosobowego oddziału mógł być każdy dzielny, z inicjatywą, najczęściej samorzutnie organizujący ten oddział, miejscowy chłop, robotnik czy oddany sprawie inteligent, taka była zasada. W walkach, w ciągłym ruchu oddziałek (sekcja, drużyna), rozrastał się w pluton, kompanię. W procesie samej walki dojrzewali dowódcy i żołnierze.*

Sprawdziło się to w wielu potyczkach i regularnych bitwach, tych na Podlasiu, pod Rąblowem w Lasach Janowskich, Lipskich i Puszczy Solskiej. Panował w oddziałach GL i AL nie tylko demokratyzm, ale i internacjonalizm. Przecież oprócz Polaków należeli do czerwonej partyzantki liczni przedstawiciele narodów Związku Radzieckiego, Żydzi, a nawet Grecy. Pomijam tu dokonania dowódców powszechnie znanych, ale warto przypomnieć, że niemal dokładnie w tym samym czasie, gdy ze stolicy wyruszył oddział GL im. S. Czarnieckiego pod dowództwem F. Zubrzyckiego (ps „Mały Franek"), oddział GL spod Kraśnika Antoniego Palenia (ps. „Jastrząb") dokonał pierwszych udanych akcji, np. w Zaklikowie, by uwolnić kilkudziesięciu więźniów.

W sumie ruch partyzancki na Lubelszczyźnie, a nade wszystko ten, który najbardziej zdecydowanie przeciwstawił się okupantowi i istocie faszyzmu, według opinii dowództwa hitlerowskiego, wiązał stale co najmniej trzy dywizje doborowych wojsk niemieckich. Stanowił nie tylko odciążenie frontu wschodniego: przede wszystkim dezorganizował poprzez liczne akcje komunikacje i aprowizację tegoż frontu. Uniemożliwiając działalność urzędów gminnych, zmniejszał władzę okupanta długo przed osiągnięciem nad nim zwycięstwa, uchronił dziesiątki tysięcy ludzi przed wywiezieniem do Rzeszy, dał schronienie radzieckim jeńcom oraz uciekinierom z obozów i dostarczał im broń.

Skoro trwała bezpośrednia walka, więc ludzie ginęli nie tylko po stronie niemieckiej. Straciło życie setki aktywistów Polskiej Partii Robotniczej, tysiące żołnierzy Gwardii Ludowej, Batalionów Chłopskich i Armii Ludowej. Niestety, wydano im także walkę bratobójczą, której tak bardzo zawsze unikali. I to były śmierci najbardziej bolesne. Czasem, jak w Kaznowie, gdzie przebywał sekretarz Komitetu Obwodowego, Jan Sławiński, posłużono się naprowadzeniem okupanta. Jednak zdarzało się niszczenie gwardzistów i AL-owców przez ludzi mówiących tym samym językiem. Do najgłośniejszych należały: mord gwardzistów pod Borowem, ale też otoczenie oddziału AL w powiecie puławskim, w którym ostatecznie porażkę ponieśli napastnicy, zamordowanie żołnierzy AL we wsi Potok-Stany a także wiele innych. A już po wyzwoleniu, dlaczego zabito i zmasakrowano pierwszego czerwonego wójta w Rybczewicach, przedwojennego KPP-owca, Wincentego Lisa, gdy wiózł do Krasnegostawu rekrutów, którzy mieli wziąć udział w nie zakończonej jeszcze wojnie? Niemal wszystkie tego rodzaju akcje były dziełem Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ).

Nie w pełni zostały dotąd ukazane dokonania PPR i jej zbrojnych oddziałów na Chełmszczyźnie, Lubelszczyźnie, Podlasiu i Zamojszczyźnie. Na bardziej pogłębione opracowanie czeka także okres utworzenia PKWN, a następnie Rządu Tymczasowego. Organizacja PPR tego obszaru stanowiła ogromne wsparcie dla Komitetu Centralnego PPR, KRN oraz wspomnianych już organów wykonawczych, szczególnie po styczniowej ofensywie i potem, gdy trzeba było ustanawiać polską władzę na odzyskanych terenach. AL-owcy z obszaru między Bugiem a Wisłą wzmocnili też Wojsko Polskie. Ale to już osobna karta historii.

Start „Kameny"

1934 nr 10

[...] Będąc pismem literackim, „Kamena" nie wiąże się z żadnym obozem politycznym. Rozumiemy jednak dobrze społeczne podłoże literatury, związanej z życiem i opierającej się na nim; zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przełomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem, upostaciowanym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie barykady, nie tylko dlatego, że tak nam każe proste poczucie sprawiedliwości, lecz i z tej przyczyny, że ustrój kapitalistyczny, odegrawszy już swoją rolę, stał się przeżytkiem, tamującym w procesie twórczym rozwoju cywilizacji dopływ świeżych, zdrowych sił proletariatu [...].

Dokończenie ze str. 1

ale przede wszystkim malarz, który już parokrotnie wystawiał swe obrazy, nazywał się Zenon Waśniewski.

Przybył do Chełma z młodziutką urodziwą żoną, która mu nieraz pozowała do portretów, w r. 1921 z Radzynia, gdzie, niedoszły architekt, pracował w budownictwie wojskowym i w prywatnym gimnazjum. Rodem z Tarnowa, ukończył szkołę realną w Krakowie, po czym wstąpił do Politechniki Lwowskiej na architekturę. Ale wybuchła wojna i po dwu latach studiów, zmobilizowany przez władze austriackie, do r. 1916 pełnił służbę pozafrontową, po czym został zwolniony z wojska. Jako student architektury, otrzymał wtedy pracę w Krakowie i odnawiał freski na Wawelu. Tam zetknął się z Fałatem, który go zachęcał, aby zaczął studiować w Akademii Sztuk Pięknych. Zdawał do Akademii w r. 1917, ale nie został przyjęty, gdyż ówczesny rektor Mehoffer na podstawie przedłożonych mu akwarel i rysunków stwierdził, że Waśniewski ma już swoją manierę — widocznie profesor wolał mieć do czynienia z materiałem surowym.

Kontynuację studiów w Politechnice uniemożliwiły znowu wypadki wojenne — wybuch powstania ukraińskiego we Lwowie. Uczelnię zamieniono na szpital, a niefortunny student zrezygnował już z dalszej nauki. Jednak plastyce został wierny przez całe życie. Malował przeważnie portrety, ale pracował chętnie i w plenerze (przeważnie akwarele, lecz również olej, tempera i pastel). Dwukrotnie wystawiał obrazy w warszawskiej Zachęcie, prócz tego w Lublinie i Zamościu. Zresztą miał i zamiłowania literackie. Pisał wiersze oryginalne i tłumaczył z poezji niemieckiej.

Nic więc dziwnego, że zbliżyliśmy się do siebie. Łączyły nas wspólne zainteresowania, zamiłowanie do książek, które jak i ja gromadził, przyjazny stosunek do młodzieży, udział w reżyserowanych przeze mnie szkolnych przedstawieniach teatralnych, do których robił dekoracje i projektował kostiumy. Na niego mogłem zawsze liczyć. Pracowity, uczynny, łatwo entuzjazmujący się, choć na pozór zamknięty w sobie i milkliwy, był dowcipny i miał poczucie humoru, co zawsze w ludziach cenię. Z innymi kolegami utrzymywałem tylko bliższe lub dalsze stosunki koleżeńskie i towarzyskie, jego uważałem za przyjaciela.

Na dłużących się nieraz w nieskończoność i nie zawsze interesujących posiedzeniach rady pedagogicznej sadowiłem się zazwyczaj obok niego, bo zawsze jakimś zabawnym spostrzeżeniem i szeptanym mi z śmiertelną powagą do ucha dowcipem potrafił rozwiać panującą nudę. Zaglądałem mu przez ramię, gdy słuchając toczącej się dyskusji, jednocześnie szybko i niedbale kreślił karykatury kolegów i kilkoma pociągnięciami ołówka osiągał zdumiewające podobieństwo.

Nieraz w naszych pogawędkach poruszaliśmy sprawę, która interesowała nas obu, a do której często wracaliśmy zwłaszcza po ukazaniu się w Lublinie pierwszego numeru „Barykad". A gdyby tak spróbować założyć pismo literackie w Chełmie? Koszty wydawnictwa byłyby tu znacznie mniejsze niż w Lublinie. Orientowaliśmy się mniej więcej w cenie, znając zakład, w którym drukowało się pisemko uczniowskie i gdzie tłoczono parę moich zbiorków. Ale wydawać coś podobnego w mieście powiatowym liczącym trzydzieści tysięcy mieszkańców, z czego połowę stanowili Żydzi? Dlaczegóż by nie? Przecież nie miejsce druku jest ważne, tylko treść publikacji, wartość piór, które się zdobędzie. A chwila do założenia miesięcznika poświęconego poezji była bardzo odpowiednia: umilkł „Skamander", skończyła się „Kwadryga" przestała ukazywać się „Linia", podobnie łódzkie „Prądy", „Reflektor" już dawno nie wytrzymał próby czasu, a ostatnio znów „Barykady". Wilno zdobywało się jedynie na nieregularnie ukazujące się wydawnictwo o formacie gazetowym. Luka wyraźnie prosiła się o wypełnienie.

Tylko że strona graficzna nie jest obojętna, a czego można się spodziewać po drukarniach chełmskich, których możliwości są bardziej niż skromne? Trzeba się najpierw rozejrzeć w sytuacji, zasięgnąć języka. No, dobrze, ale przede wszystkim skąd wziąć pieniędzy na imprezę tego rodzaju?

Gdyby tak założyć coś w rodzaju spółdzielni wydawniczej? Roześmialiśmy się na tę myśl obaj. Ładna mi spółdzielnia, z góry przewidziana na straty, a nie zyski. Ale im więcej członków byłoby w takiej kooperatywie, tym straty przypadające na każdego byłyby mniejsze. Na razie jest nas dwóch. Gdybyśmy mogli znaleźć jeszcze osiemnastu, to na pewno ruszylibyśmy z miejsca. Gdzie szukać tych ludzi? Oczywiście liczyć można by tylko na niektórych kolegów. Bądź co bądź przecież to akcja oświatowa.

* * *

Nie pamiętam daty inauguracyjnego zebrania, na którym powzięto uchwałę wydawania pisma literackiego. Rok 1933 przed wakacjami. Widzę dobrze ten słoneczny dzień czerwcowy, tuję ocieniającą okno pokoju i grupę nauczycieli, wśród których znajdował się i mój były uczeń. Zreferowałem pokrótce nasz projekt, o którym zresztą koledzy i przedtem coś niecoś wiedzieli, Waśniewski zaś zapoznał obecnych z budżetem zamierzonego wydawnictwa, po zasięgnięciu bowiem informacji w tutejszych drukarniach orientowaliśmy się już z grubsza, ile mniej więcej nasza impreza może kosztować.

Wszystko poszło niespodziewanie gładko, co wynikało zarówno ze zrozumienia wartości wydawnictwa tego rodzaju, jak i koleżeńskiej chęci poparcia w miarę możności naszej inicjatywy. Tylko że, niestety, możliwości te ze zrozumiałych względów były niewielkie, a i wyolbrzymialiśmy w naszych przypuszczeniach liczbę kolegów, którzy przyjdą na zebranie, aby nam pomóc. W każdym razie zebrało się wraz z nami kilka osób. Postanowiono opodatkować się na ten cel w wysokości 5—10 złotych, z tym, że wpłacono by już składki za czerwiec i dwa miesiące wakacyjne, aby z początkiem roku szkolnego we wrześniu mógł się ukazać pierwszy numer pisma. Bez żadnej dyskusji przez aklamację orzeknięto na wniosek jednego z kolegów, że ja będę redaktorem, a Waśniewski zostanie skarbnikiem, administratorem i „wydawcą".

— I grafikiem! — dodałem — w każdym zeszycie musi się znajdować wkładka linorytowa. — Oczywiście pracować będziemy honorowo. Uchwaliliśmy, że pismo będzie miesięcznikiem, ukazującym się od września do czerwca (10 numerów) z przerwą wakacyjną należną dziecku nauczycielskiemu. Na razie jeszcze nie ustaliliśmy jego nazwy.

Zwrócę uwagę na jedną znamienną okoliczność: wszyscy koledzy znali moje poglądy lewicowe, z którymi nie każdy z nich się godził, a jednak dano mi całkowitą swobodę pod względem charakteru pisma, sposobu jego redagowania i dobierania współpracowników.

Długo biedziłem się z Zenkiem nad wymyśleniem tytułu. Pamiętam, jak każdy z nas z osobna wypisywał kolumny projektów, jak potem porównywaliśmy je ze sobą. Wszelkie „Zenity" i „Nadiry", astronomiczne „Oriony" i „Kasjopeje", geometryczne „Elipsy", „Trapezy" czy „Sześciany" — odpadły od razu. Pismo miało być przede wszystkim poświęcone poezji, należało więc raczej sięgnąć do mitologii. Mówiło się o „Pegazie", „Bellerophonie" i Ariostowskim „Hipogryfie". Aż wreszcie zatrzymaliśmy się na „Syrindze" i „Kamenie". Obie te nazwy wydawały nam się skromniejsze i nie były dotąd używane. Ostatecznie stanęło na „Kamenie", do czego w dużym stopniu przyczyniła się ta okoliczność, że wydając przed dwoma laty „Wybór poezyj" S. Jesienina w swoim przekładzie, zaopatrzyłem zbiorek w signum: „Biblioteka Kameny" nr 1 i zapowiadałem dalsze pozycje w tej serii. Poza tym Kameny występowały nieraz w poezji polskiej i rosyjskiej zamiast Muz, symbolizując poezję. Rozmiłowany w antyku Tadeusz Boche ński dziwił się potem „Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób Tobie, nie starożytnikowi przecież, taki tytuł wpadł do głowy i serca. Przyznaję, że tytuł to bardzo dźwięczny i bardzo odpowiedni". I dodawał uczenie: „Camena toć przecie łacińska nazwa greckiej Muzy. Inna rzecz, że wyraz może nie jest rdzennie łaciński. Dopatrują się w nim pierwiastków „świętości" i „jaśnienia", „odznaczania się". Dawniej dopatrywano się wprost związku z pieśnią (carmen)"

Z tym tytułem mieliśmy potem zabawne historie. Wprawdzie w numerze drugim w sfingowanej „odpowiedzi redakcji" powołaliśmy się na „Mitologię" Parandowskiego i cytowaliśmy jego określenie Kameny, ale wciąż trzeba było tłumaczyć, co ta nazwa oznacza. Nawet redakcje niektórych pism, przysyłając egzemplarze zamienne, przekręcały na adresie tytuł na „Kamęę" lub „Kamerę" (ba, i dziś jeszcze jedno z pism czeskich wciąż na banderoli adresuje w ten drugi sposób, a przed wojną w spisie czasopism wychodzących w Polsce, zredagowanym przez „PAR" — Polską Agencję Reklamy, znaleźliśmy nasz tytuł w rubryce poświęconej fotografice, z podaniem miejsca wydawnictwa — Chełm Lubelski). Dowcipnisie z prawicy mieli okazję do złośliwych kalamburów: Kamena — komuna, kamienistyczni poeci itp.

Mamy zatem te sto złotych; mamy tytuł i drukarnię, bo zdecydowaliśmy się na zakład „Kultura", którego właścicielem był M. J. Bronfeld, znany mi bliżej, bo tam drukowałem zbiorek Jesieninowski i „Więcierze"; mamy przed sobą dwa miesiące letnie, aby wejść w kontakt z lublinlakami, zebrać materiały i odpowiednio przygotować numer pierwszy, który miał się ukazać we wrześniu. Musi być na dobrym poziomie, od startu bowiem zależy dalszy rozwój pisma.

Licząc się z naszymi możliwościami finansowymi i nie chcąc, aby nowe pismo stało się jeszcze jedną efemerydą, która zemrze po kilku miesiącach istnienia, z góry postanowiliśmy utrzymać „Kamenę" przynajmniej przez rok, wydawać szczupłe szesnasto-dwudziestostronicowe numery i starać się, by do następnych wakacji możliwie regularnie ukazało się dziesięć zeszytów. Nakład ustaliliśmy na 300 egzemplarzy. Liczba ta dzisiaj może się wydawać bardzo mała, ale na ówczesne stosunki, kiedy zbiorki poetyckie wydawano przeważnie w kilkuset egzemplarzach (u Kuglina w Poznaniu nawet 110), była dla pisma tego rodzaju zupełnie normalna. Nie chcieliśmy zresztą gromadzić makulatury.

Podzieliliśmy pracę w ten sposób, że korespondencja z literatami, projektowanie numeru i adiustacja materiału miały należeć do mnie, do Zenka zaś prowadzenie ksiąg rachunkowych, porozumiewanie się z kolporterami i zaopatrzenie każdego zeszytu we wkładkę linorytową. Obaj mieliśmy doglądać pracy w drukarni, przeprowadzać korektę i po ukazaniu się numeru ekspedjować pismo. [...]

Kazimierz Andrzej Jaworski

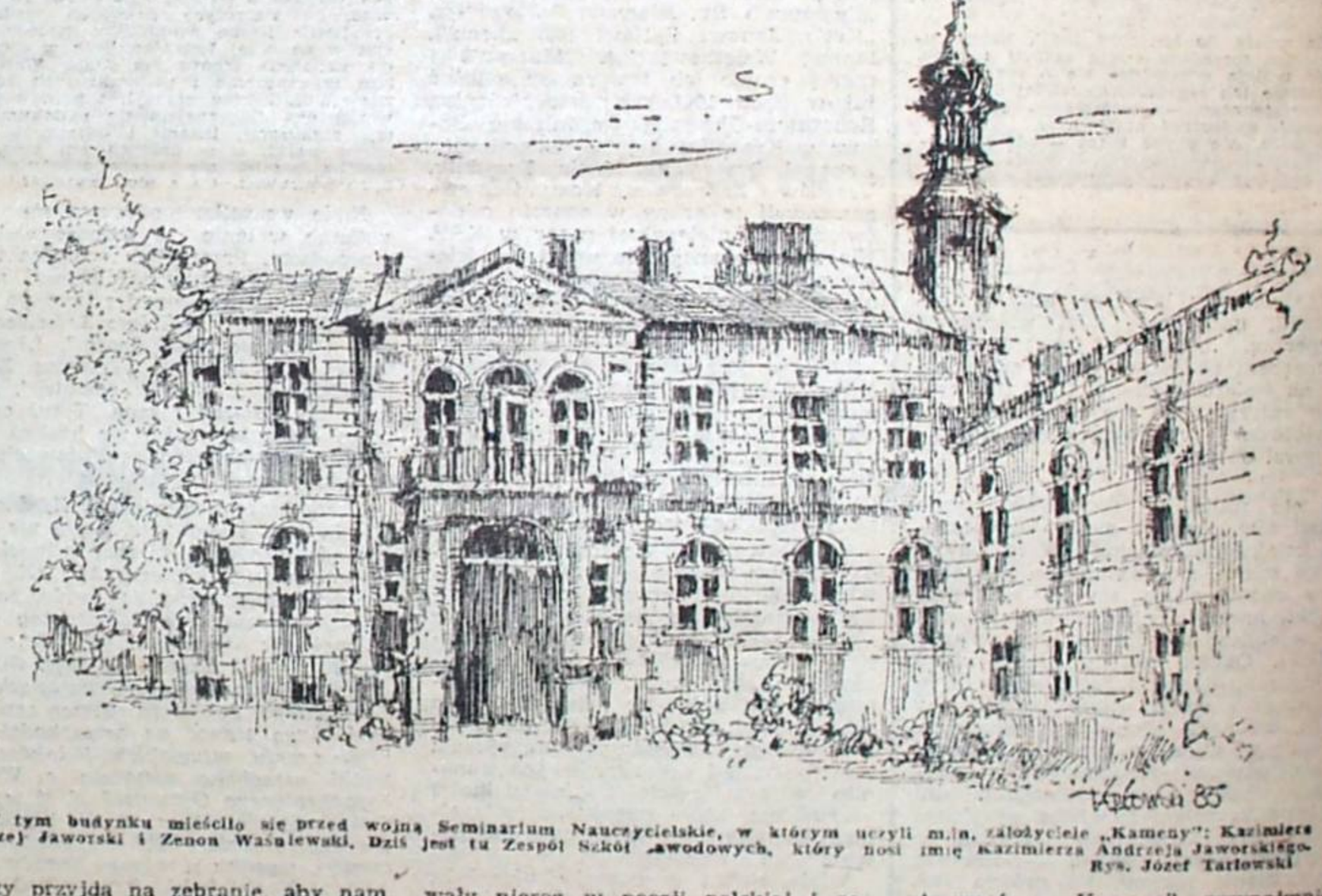

W tym budynku mieściło się przed wojną Seminarium Nauczycielskie, w którym uczyli m.in. założyciele „Kameny": Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski. Dziś jest tu Zespół Szkół Zawodowych, który nosi imię Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Rys. Józef Tarłowski

O polsko-czeską współpracę kulturalną

1948 nr 1/3

Franciszek Halas

W SWYCH początkach literatura polska, o ile idzie o jej język, wystawiona była na niebezpieczeństwo ze strony literatury niemieckiej, a prócz tego musiała walczyć z międzynarodową łaciną. Jako jeden z przykładów spośród wielu przytaczam tylko Psałterz Floriański, który zawiera obok siebie tekst polski, niemiecki i łaciński. Wówczas język czeski był pożądaną bronią przeciwko tym wpływom: wnikał on obfitymi strumieniami do polskiego piśmiennictwa. Nie ograniczało się to do wpływów językowych. Także pod względem literackim czeskie wzory różnego rodzaju oddziaływały swą treścią i formą na polską twórczość literacką. Na ogół powiedzieć można zgodnie ze znakomitym slawistą rosyjskim, że „rozwinięta kultura językowa czeskiego gotyku, zaszczepiona literackiej polszczyźnie, pobudziła jej rozwój i spłynęła z nią już w twórczości Mikołaja Reja w organiczną całość. Podczas gdy w Czechach ścisła poezja gotycka zanikała, a ówczesne stosunki kulturalno-polityczne nie pozwoliły, by na jej miejsce wytworzyć coś równowartościowego, polskie utwory zdumiewająco szybko w społecznych warunkach znacznie korzystniejszych znalazły swój szczyt w arcydziełach Jana Kochanowskiego. Faktycznym ciągiem dalszym niejako literackiej sztuki czeskiego gotyku jest właśnie wspaniała polska epoka renesansowa. A w miarę jak potężnieje literatura polska, zaczyna się u schyłku XVI wieku odwrotne oddziaływanie polskiej książki na Czechów". Tyle znawca rosyjski.

Oczywiście, że nie ograniczało się to do tego odwrotnego przenikania książki polskiej do Czech. Wskutek rozwoju politycznych stosunków nastąpił w XVII wieku upadek wszelkiego życia narodowego w Czechach. Literatura czeska i w ogóle całe życie umysłowe tylko wegetowało, podczas gdy najznakomitszy duch czeski, Jan Amos Komensky, mógł działać jedynie na wygnaniu, przez pewien czas także w Polsce, dokąd w ogóle schroniła się część czeskich wygnańców, członków Jedności Brackiej.

Kiedy następnie, w związku z odrodzeniem europejskiej społeczności pod koniec XVIII wieku, doszło do renesansu narodu czeskiego i jego kultury, także literatura polska między innymi czynnikami przyszła nam z pomocą. W sensie znanego hasła Kollara o słowiańskiej wzajemności na przestrzeni całego XIX wieku uważnie śledzony był rozwój polskiej literatury w ogóle i nie będzie żadną przesadą, jeśli powiem, iż bodaj nigdzie polska twórczość literacka nie odbiła się tak głośnym echem, jak właśnie w Czechach.

Oba narody przez całe wieki walczyły o wolność, a wysuniętą forpocztą w tej walce była zawsze literatura. Z żywym zainteresowaniem śledziliśmy pracę polskich poetów i pisarzy i staraliśmy się poznać ją najdokładniej. Zainteresowanie to nie zmalało ani wówczas kiedy przed niemal 30 laty znowu zmartwychwstała Rzeczpospolita Polska i nasze państwo. Zainteresowanie to nie zmalało dlatego, że przeczuwaliśmy, iż walka nie jest jeszcze skończona, że idea demokratyczna jeszcze nie zwyciężyła zupełnie i na zawsze.

Wiemy, jak naród polski cierpiał podczas wojny, jakie poniósł straty, wiemy także, przed jakimi stoi zadaniami, tym bardziej, że przed podobnymi zadaniami stoimy i my. Zmiana struktury narodowej, jaką obecnie naród polski przeżywa, znowu go do nas zbliżyła, a dla pracowników ducha, przede wszystkim zaś dla pisarzy i poetów, którzy są awangardą dalszego postępu i protagonistami budowy nowej rzeczywistości, jest to szczególnie ważne. Wierzymy wszyscy, że „jednością silni, rozumni szałem" we wspólnej i zwartej woli będziemy w stanie spełnić piękne słowa Adama Mickiewicza:

Dalej, bryło, z posad świata,
Nowymi cię pchniemy tory.

Komu to służy?

1971 nr 10

Maria Bechczyc-Rudnicka

WIĘC „Przenikanie"? Wydało mi się początkowo, że sugestia tytułu wyłoniła się z obrazu Marii Jaremy „Penetracje". Ale nie, to po prostu Różewicz tak zatytułował wiersz w „Twarzy trzeciej", w którym mówi:

śmierć / przenika przez życie / jak światło / przez pajęczynę / wiszącą w drzwiach / otwartego pokoju
konający wyprowadzał się / długo krzycząc szukając / wybiegów układał się
śmierć zjadała rysy / kolejnych twarzy nałożone / na kość / tylko ręce / ucięte wcześniej / zapisywały / tekst / i oczy zastąpione zostały / przez odciski palców

Jasne? — Jasne. Różewicz przecie włada poetyckim konkretem w sposób, który nie pozwala mylić jego myśli, choćby sięgała najgłębszej głębi.

Umieszczony nie na początku zbioru, ani na końcu, wiersz „Przenikanie" nie jest patetycznym objawieniem prastarej prawdy o wykruszaniu się człowieczeństwa przed finałem człowieczego żywota, ale staje się potrzebnym dopełnieniem i miernikiem pewnych spraw świata wartościowanych przez poetę, przede wszystkim może w „Non — stop — shows".

Chyba właśnie asocjacje myślowe łączące wymienione dwa wiersze miał na względzie Kazimierz Braun nadając tytuł „Przenikanie" swej „rzeczy dramatycznej", której scenariusz zawiera m.in. kilka fragmentów z „Non — stop — shows". Atoli ową filiację idei można uchwycić dopiero wówczas, gdy się ma w ręku „Twarz trzecią" Tadeusza Różewicza. Bez tego tytuł widowiska pozostaje zagadką, bo sam wiersz „Przenikanie" w zakres scenariusza nie wszedł.

Do intencji przedstawienia podprowadza bliżej zestaw cytatów w programie. Tenor ich daje się podsumować lapidarnie zdaniem Paula Valéry: *Pojmujemy, że cywilizacja jest tak samo krucha jak życie.*

Cóż, dobroczynny wpływ cywilizacji na morale ludzkości był kwestionowany z dawien dawna. Najdosadniej uczynił to w swoim czasie Jean-Jacques odpowiadając na słynne pytanie Akademii Dijońskiej — „Czy postęp nauki i sztuki przyczynił się do zepsucia czy też do oczyszczenia obyczajów?" — o którym to traktacie Russa szyderca Wolter powiedział iż lektura rozprawki budzi chęć ucieczki na czworakach do lasu.

Dziś po najokrutniejszej z wojen i w związku z zawrotnym rozwojem techniki stare pretensje do cywilizacji rozrosły się w nieustający natężony protest, który acz zrodził się w czujnych sumieniach, sam z kolei zaczyna być elementem destrukcyjnym, przeszkadzającym ludziom w dojściu do równowagi psychicznej.

Tylko taka poezja i tylko taka literatura, tylko taki sposób życia nam odpowiada, który jest, który staje się czynną interwencją w przemianę świata, w jego ulepszenie, w jego budowę i przebudowę... (Krzysztof Karasek).

Cytat ów w programie teatru, wygłoszony też chóralnie ze sceny jak wyznanie wiary, zasługuje oczywiście na pełną aprobatę. Do czegoż ostatecznie od lat przeszło dwudziestu sześciu zachęca się u nas teatry i literaturę, jak nie do czynnej interwencji w przemianę świata? „Przenikanie" Teatru Osterwy rodzi jednak wątpliwość, czy namolna, jednostronnie mroczna prezentacja procesów rozwojowych ludzkości naprawdę pomaga człowiekowi „budować i przebudowywać" ten skompromitowany beznadziejnie świat.

Wydaje się, że za długo już trwają w różnych dziedzinach sztuki wszelakie „kontestacje" i „prowokacje", że czas, by gromiący kaznodzieje przystąpili wreszcie do jakichś propozycji konstruktywnych, począwszy od reformy pryncypiów własnego „sposobu życia".

Oblekając przeznaczone do prezentacji myśli w strukturę sceniczną, Kazimierz Braun przybrał do pomocy poezję Różewicza. Są w jego montażu, jak się rzekło — i fragmenty „Non — stop — shows", i „Domowe ćwiczenia na temat aniołów" i „Decybele", „Szkic do erotyku współczesnego", „Rzeczywistość którą oglądałem". „Zielona róża"... Ale stała się rzecz fatalna. Nie na darmo powiedziano „spiritus flat ubi vult" — duch poezji Różewiczowskiej nie zechciał patronować widowisku, które gubi słowo poetyckie w songach, śpiewanych po amatorsku między szaradowo-mimicznymi ilustracjami do tekstów, jakże „przegadanymi" wizualnie (że wymienię dla przykładu wstępne „hippiesowskie" zaleganie proscenium, obliczone na programową nudę, wywołujące natomiast po obu stronach rampy raczej coś w rodzaju głupkowatego zawstydzenia).

Niestety, „Przenikanie", wystawione z niemałym nakładem energii młodych sił zespołu, jest spóźnionym echem wieloletnich poszukiwań i osiągnięć teatrów studenckich. Sądzę, że tylko neofitom awangardyzmu może dziś imponować dokonane na scenie wojewódzkiej przeniesienie pewnych sklasycyzowanych już procederów Teatru Laboratorium, przefiltrowanych przez sceny amatorskie — wszystkie te pełzania na „deskach", koziołkowanie, patos ekspresjonistyczny, erotomański ekshibicjonizm, zastępowanie słowa dramatycznego bełkotem i ta, — pożal się Boże — „improwizacja"... zafiksowana starannie na próbach. Improwizacja. Też mi nowość! Proszę powiedzieć z ręką na sercu, kiedyż to na próbach nie było improwizacji?

Konia z rzędem temu, kto udowodni, że jest w owym „Przenikaniu" choć jeden elemnt „eksperymentalny", nigdzie przedtem nie sprawdzony. Po raz wtóry — niestety, tak — niestety powielamy pomysły innych. I powtarzamy swoje własne. Po znakomitym, pełnym inwencji, werwy, dowcipu „Akcie przerywanym", ukazała się na scenie Teatru Osterwy również pomysłowa inscenizacja „Kto ty jesteś?", której postać teatralna znacznie przewyższała fakturę artystystyczną oryginału. Obawiam się, że to właśnie powodzenie tej drugiej pozycji (nawiasem mówiąc dziś nieco zdezaktualizowanej) pobudziło inscenizatora do szukania dalszych sukcesów na świeżo utorowanej drodze. Po raz trzeci — niestety: była to pomyłka. Wzmożenie elementu pantomimicznego (bez zawodowego przygotowania wykonawców), kosztem słowa zepchniętego na ostatni plan, odbiło się ujemnie na czytelności „rzeczy dramatycznej" Brauna, pozostawiając widza obojętnym, tedy bynajmniej nie zachęconym do postulowanej „naprawy świata".

Owszem, jest w „Przenikaniu" parę elementów, po których się rozpoznaje „lwi pazur" utalentowanego inscenizatora. Do takich należy scena „nad grobem" z ocalałymi strzępami „Dytyrambu o sprawach konkretnych" Leona Szweda (*...wobec tej idealnej zbrodni powstającej wśród białego dnia myśląc logicznie nie jest perswazją malować rewolwerem lub ekstrementami w muzeum guggenheima wywozić humanizm w kubłach do śmieci...*)

Albo „relaksowa" pantomima „młodzi urządzają się" z groteskowym spiętrzeniem sprzętów — wyznaczników współczesnego mieszczańskiego dobrobytu i tragikomiczną inwazją natrętów do „gniazdka" młodożeńców.

Wymowę dramatyczną ma kolejne usuwanie się jednej, drugiej, trzecie ściany, spoza których wyłoni się jeszcze następna — z zamurowanym drzwiami.

Natomiast uproszczona i nie rehabilitująca słowa jest scena wywiadu z Profesorem, gdyż rozegrano ją w tonacji ironicznej, wskutek czego straciło nośność ze wszech miar słuszne stwierdzenie, że technologia nie jest antynomią humanizmu, jest dobrodziejstwem jeszcze źle ustawionym w naszym modelu kulturowym...

Co w takim razie z tą czynną interwencją teatru w ulepszenie świata?

I wreszcie — rozmawiajmy z młodymi rzetelnie. Przestańmy na tej polskiej ziemi bić się w piersi za niezawinione cierpienia, za narzuconą nam wojnę, której oni nie przeżyli. Przestańmy schlebiać, że dopiero oni wchodzą w światło dnia nieposzlakowani, a jeżeli ktoś ich „poszlakował" jak powiedziałby Tuwim, to z winy ojców.

Krótko mówiąc, „Przenikanie" nie wydaje mi się dobrze przemyślaną pozycją repertuarową. Ale skoro już jest, namawiałabym gorąco do zorganizowania szeregu dyskusji na jego temat, przynajmniej w kręgach inteligenckich, bo dla niewyrobionych widzów spektakl ten pozostaje w ogóle niezrozumiały.

Państwowy Teatr im. J. Osterwy: „Przenikanie". Scenariusz i reżyseria — Kazimierz Braun, aranżacja plastyczna — Jerzy Torończyk, muzyka — Jacek Popiołek, współpraca pantomimiczna — Jerzy Leszczyński. Obsada: Danuta Borowiecka, Ewa Kania, Barbara Kozlarska, Justyna Moszówna, Urszula Rydzewska, Elżbieta Święcicka, Wanda Wieszczycka, Ewa Wolf, Zbigniew Górski, Roman Kruczkowski, Marian R. Miczka, Józef Onyszkiewicz, Edwin Petrykat, Jerzy Schejbal, Henryk Sobiechart, Włodzimierz Wiszniewski.

ZENON WAŚNIEWSKI

1965 nr 9

W KWIETNIU br. upłynęło 20 lat od śmierci w obozie koncentracyjnym w Bergen-Belsen współzałożyciela „Kameny", jej grafika w okresie przedwojennym (linoryty prawie w każdym numerze i w kilku zbiorkach „Biblioteki Kameny"), malarza i poety Zenona Waśniewskiego.

Urodził się w Tarnowie w r. 1891, ukończył szkołę realną w Krakowie, po czym wstąpił do Politechniki Lwowskiej na architekturę. Po dwu latach studiów musiał je przerwać z powodu wybuchu wojny światowej. Zwolniony z wojska, pracował nad odnawianiem fresków wawelskich. Kontynuację studiów w Politechnice uniemożliwił z kolei wybuch powstania ukraińskiego we Lwowie. Waśniewski zrezygnował z dalszej nauki, ale plastyce pozostał wierny przez całe życie.

Po dwu latach pracy w radzyńskim gimnazjum prywatnym przeniósł się do Chełma, gdzie do września 1939 r. uczył rysunków w Seminarium Nauczycielskim Męskim i Liceum Pedagogicznym.

Aresztowany przez Niemców w październiku 1942 r. za udział w pracy konspiracyjnej, przebywał w więzieniu na Zamku Lubelskim, a potem w kilku obozach koncentracyjnych. Nie doczekał wyzwolenia Bergen-Belsen przez wojska alianckie.

Jako malarz (głównie akwarele, ale również olej, tempera i pastele) celował w portretach (był też doskonałym karykaturzystą). Spośród pejzaży szczególną świeżością odznaczają się — podolskie. Wystawiał obrazy w Zachęcie Sztuk Pięknych w r. 1928 a w r. 1931 w Salonie Dorocznym Zachęty (dwukrotnie), prócz tego — w Lublinie (1928) i w Zamościu. Należał do Związku Plastyków w Lublinie.

Pierwszą pośmiertną wystawę obrazów Waśniewskiego oglądaliśmy w Chełmie w r. 1957. W 20 rocznicę jego zgonu otwarto tam również wystawę w maju br.

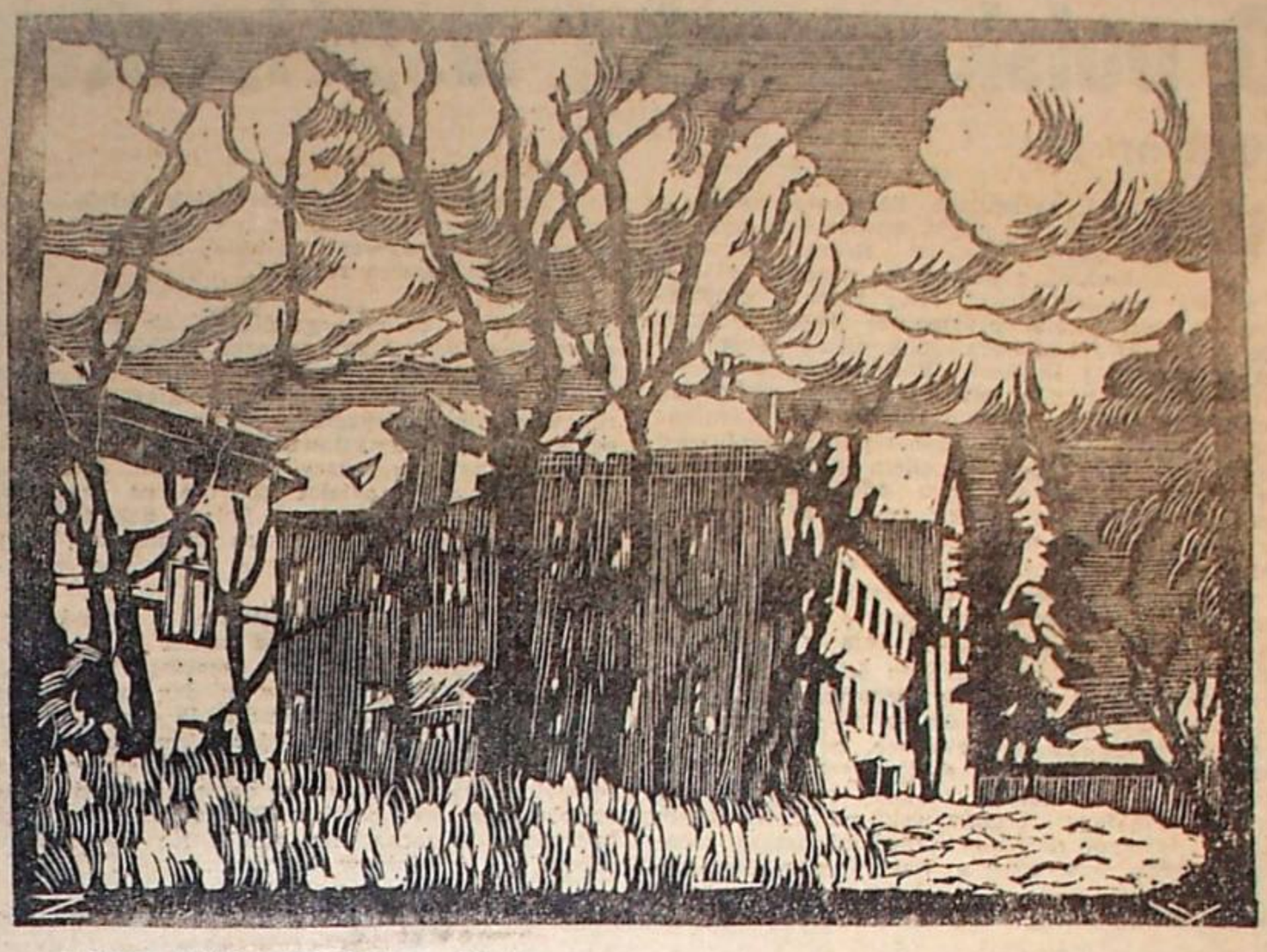

Zenon Waśniewski: Motyw z Chełma

1935 nr 3

Ostatni list

1946 nr 1/3

Więc do tego przyszło. Łudziliśmy się do ostatniej chwili, czekali na powrót, na list przynajmniej. Dziś wiemy, że już nie wrócisz nigdy.

I oto piszę Ci ten list w zaświaty, list do dymu, który się rozwiał, do popiołów, które użyźniły ziemię śmiertelnego wroga, a może do kości, jeśli uniknąłeś krematorium. Zresztą, czyż nie wszystko jedno, dość, że nikt Ci kwiatów na grobie nie złoży, nie ma go bowiem.

A piszę Ci ten list na kartce „Kameny", naszej „Kameny", wznowionej w odrodzonej Polsce, dla której się męczyłeś, dla której życie oddałeś.

Pamiętasz początki naszego pisma, które powstało z niczego, ze skromnych naszych i koleżeńskich składek, z naszego entuzjazmu, z bezinteresownej życzliwości współpracowników — literatów? To wystawanie godzinami w prymitywnej drukarence i mustrowanie zecerów, Żyda i Rosjanina, którzy dobrze języka polskiego nie znali? Te żmudne korekty i walkę o każdy przecinek? I radość naszą, że „Kamena" nie będzie efemerydą, że się rozwija, że jej wygląd graficzny jest coraz lepszy? A te Twoje linoryty, początkowo jeszcze skromne, boś dopiero terminował w tym kunszcie, a potem wciąż doskonalsze? Czy wiesz, że było ich 54? Pamiętam, jak niektóre z nich podobały się Czechowiczowi. Dziś jesteście razem, a nowej „Kamenie" brak Twoich wkładek, mimo iż nakład jej wzrósł dziesięciokrotnie.

W pierwszym budynku od lewej przy ul. Lubelskiej w Chełmie mieściła się drukarnia, gdzie przed wojną tłoczono „Kamenę"

Rys. Józef Tarłowski

A wrzesień, tragiczny wrzesień 1939 r.? Ból serc naszych, że wszystko się wali, niebo zieje ogniem słońca i pocisków wroga, ziemia rozstępuje się pod nogami, a państwa nie ma. A potem moje uwięzienie, obóz koncentracyjny i lakoniczne listy do rodziny, w których nie omieszkiwałem załączyć pozdrowień dla Ciebie. Oranienburg. To była dla Ciebie nazwa egzotyczna. Czyś przypuszczał kiedy, że i dla Ciebie stanie się on tragiczną rzeczywistością i że zwiedzisz tych obozów więcej ode mnie?

Mój powrót i Twoja radość, że jestem znowu w Polsce, że żyję. Czyś myślał choć przez chwilę wtedy, że role wkrótce się zmienią, a mnie nie będzie sądzone cieszyć się Twoim ocaleniem?

Widzę Cię dobrze tam za drutami. Stoisz na apelu w jednej z piątek, głód skręca kiszki, prężysz się na baczność przed smarkaczem i na komendę posłusznie ściągasz czapkę z ogolonej głowy... A potem śpiewasz z tysiącami towarzyszy idiotyczną piosenkę w języku Rilkego, którego tak pięknie tłumaczyłeś. W oczach Twych pogarda, w sercu nabój nienawiści, ale z ust spływają słowa głupiej pieśni, bo wiesz, że śpiewać trzeba, bo przytrzymają Cię dłużej na apelu, a tam w bloku stygnie upragniona brukwianka... Dziś oni są górą, ale jutro wiesz, co ich czeka. Byle tylko przetrwać i wrócić do Polski, do ukochanej żony, do bliskich, do swoich książek, do sztalugi. Ach, przetrwać, przetrwać...

Piszę te słowa, Zenku, a cień Twój chyli się nad kartką papieru. Patrzysz na mnie ze swych obrazów wiszących na ścianie, z czarnych kresek linorytów, z liter wiersza swego. To nieprawda, że Ciebie nie ma. Jesteś przy mnie w tej chwili, uśmiechasz się pobłażliwie i słyszę, jak szepczesz słowa Błoka z książeczki, którą ozdobiłeś pięknymi wkładkami: „...wszak wynik jest wiadomy: wszyscy umierają".

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Ewa Dybek Korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36231.
Adres redakcji: 20-029 Lublin al. Skłodowskiej 1/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1863/83 7.09.83 r. S-4